

KRYMINALEK

Maciej Sasota



Ważny, nie przykad, kilka
letnie dzieci, dla których
była to bodaj pierwsza
sposobność w życiu, by
własnie oczy zobaczyły
własnych uszy
własnymi o
dnęć" zim
szaly o niej ty
wieszlach rod
dziadków lub wuziżon
ty sobie ją, patrząc z roz-



patrząc z rozmarzeniem na
tandemą, najpewniej chł-
ską, plastikową kulę z mi-
naturkę maza, którą, gdy
potrząsnąc, biały puch wi-
rował weh jak oszalony. A
teraz takie szalenstwo pa-
płknie! Basi oknem! Było
tamtej listop.

WIADOMOŚCI



KRYMINALEK
Maciej Sasota

SPIS TREŚCI

Strona tytułowa

Dedykacja

Narrator

Klientka

Grubas

Zły

Taksówkarz

Radczak

Zegarmistrz

Oni

Asia

Kasia

Duchowny

Apolonia

Karta redakcyjna

*Mamie. Niusiu, popatrz,
Twój syn wreszcie napisał kryminał.*

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

NARRATOR NARR

Wszystko zaczęło się tak, jak w wielu innych historiach spod znaku kryminału noir.

Śnieg padał nieprzerwanie od dobrych kilkunastu dni. Dotąd jednak nie nastęczało to nikomu większych problemów. Wręcz przeciwnie. Weźmy, na przykład, kilkuletnie dzieci, dla których była to bodaj pierwsza sposobność w życiu, by na własne oczy zobaczyć, na własnych uszach poczuć i własnymi dłońmi „dotknąć” zimy. Przedtem słyzały o niej tylko w opowieściach rodziców czy dziadków lub wizualizowały sobie ją, patrząc z rozmarzeniem na tandetną, najpewniej chińską, plastikową kulę z miniaturką miasta, którą, gdy potrząsnąć, biały puch wirował weń jak oszalały. A teraz takie szaleństwo panowało za ich oknem! Było pięknie! Baśniowo! Aż do tamtej listopadowej nocy...

Wtedy, bez żadnego wcześniejszego ostrzeżenia, zimowa sielanka w mgnieniu oka zamieniła się w mroźny koszmar. Bajkowy krajobraz ustąpił miejsca wizji piekła. I to takiego, które właśnie zamarza. Nad metropolią rozpętała się istna burza śnieżna, połykająca bezdusznie wszystko, co stało na jej drodze. Budyunki, dachy, ulice, chodniki niktęły w nieprzebranej chmurze białego pyłu tak szybko, że rząd polski nie zdążyłby nawet w tym czasie klepnąć żadnej ustawy.

Całe szczęście, ludzie w swej masie nie włoczyli się po mieście o tej porze, a smacznie spali w zaciszu własnych domów. Otuleni ciepłą kołdrą, śnili historie, o jakich za dnia wstydziliby się choćby pomyśleć.

Swoistym kontrapunktem dla owych niczego nieświadomych śpiochów był nasz bohater, Maciek, który przed zamiecią schronił się w barze „U Marcela”. Co ciekawe, zrobił to, jeszcze zanim nastąpiło gwałtowne załamanie pogody. Bynajmniej nie świadczyło to o jego nadzwyczajnej przezorności bądź darze czytania pogody z chmur. Bardziej przyczyny należy upatrywać się tu w zwykłym pijaństwie, choć ów epitet mógłby pękate ego Macieja urazić. Sam bowiem widział w sobie nie pospolitego moczymordę, a filar narodowego ducha optymizmu! Od lat przecież codziennie dbał o to, aby szklanka była przynajmniej do połowy pełna, bo – jak mawiał, nadając swemu alkoholizmowi poetyckiego sznytu – horyzont jutra widziany przez lornetkę butelki zawsze wydaje się bardziej znośny. Toteż z owego wypatrywania jasnych punktów jutra mężczyzna postanowił uczynić sobie pracę na pełen etat. Niezmiennie zresztą wykonywał ją stąd, z tego przedziwnego baru.

Wnętrze lokalu dobitnie wskazywało, że z równą siłą, co nowoczesności, opierał się on także standardom sanitarnym. Wystarczył rzut oka, by zrozumieć, że ściany oraz sufit w tym miejscu nie widziały koloru dłużej niż Stevie Wonder. Uczucie obskurności potęgowało także wyposażenie sali, na które składały się trzy niewielkie, okrągłe, drewniane stoliki oraz sześć pasujących stylistycznie doń krzeseł. Wszystko to było stare i cholernie lepkie. Zupełnie jakby zostało zabrane świeżo po zakończeniu zdjęć z planu jakiegoś pornosa. I to w czasach, kiedy jeszcze filmy tego typu miały dialogi.

Właściciel baru, pełniący zarazem funkcję barmana, zupełnie się takim stanem rzeczy nie przejmował. Bo chociaż miał świadomość, że zderzenie z lodową górą

wzniesioną przez bardziej wyrafinowane, konkurencyjne lokale z wyższej półki jest nieuchronne, to i tak był za stary, by wdrażać jakiegokolwiek rewolucyjne zmiany. Ponadto za bardzo swój interes kochał, więc nie w głowie było mu porzucać dzieło życia, mimo iż nastęczało wielu problemów. Poniekąd dlatego właśnie mieszkańcy miasta oraz stali bywalcy baru mówili na Marcela Gepetto – odwołując się do postaci znanego z literatury rzemieślnika, który wystrugał Pinokia. On bowiem nie porzucił chłopca, nawet gdy ten swoim zachowaniem przysparzał twórcy coraz to większej siwizny. Ów przydomek miał też drugie dno. Pewnego razu Marcel, zapytany przez wierną klientkę o plany zamknięcia słabo prosperującego biznesu, odpowiedział z rozbajającym uśmiechem: Ależ wszystko idzie świetnie! Czemuż zatem miałbym się zamykać? Wówczas kobieta skwitowała to niewybrednym żartem, że starzec jest jak wspomniany Gepetto, gdyż najzwyczajniej w świecie durnia struga.

Teraz obaj panowie, Maciek i Marcel, stanowili jedyny pierwiastek ludzki w lokalu. Ba! Wnioskując po oczach, w tym pierwszym zaszły już wręcz nieodwracalne reakcje chemiczne, na co ten drugi (najpierw delikatnie) zaczął zwracać uwagę.

– Maciek, chłopie, kończ już. Muszę zamykać.

– Marcel, no co ty?! Starego kolegę wygonisz na taką zawieję?! Popatrz – skierował wzrok w stronę okna – śnieg zacina tak ostro, że rano nie musiałem się golić. – Ledwo trafił dłonią w policzek. – Twarzyczka jak pupa niemowlęcia!

– Taaa, niemowlęcia, które se tę pupę odparzyło. Przecież ty jesteś bardziej czerwony niż słusznie miniony ustrój. Weź, daj spokój na dziś. Sobie i mnie.

- Odwal się, bo ci zaraz... - Resztę pijackich pogroźek przerwał nagły silny atak kaszlu.

- He, he! Uważaj, żebyś się nie udławił własnymi słowami.

- To astma.

- Oj, Maciek, Maciek... Co się z tobą stało? Kiedyś bez trudu łapałeś najgroźniejszych przestępców, a teraz... nawet tchu nie możesz...

Marcel miał rację. Nasz bohater, z zawodu prywatny detektyw, a prywatnie po prostu detektyw, lata swej świetności miał już dawno za sobą. Podobnie zresztą jak Edyta Górniak, stylistka Donalda Trumpa czy krawiec odpowiedzialny za samoopuszczające się spodnie Billa Clintona. Dawniej jednak Maciej brylował. Jego nazwisko i facjata nie schodziły z pierwszych stron gazet. Był śmiałkiem, który w mieście bezprawia owe prawie starał się przywrócić. Dobór słów zresztą nie jest tu przypadkowy. Mężczyzna doskonale wiedział, że sam nie oczyści metropolii ze wszystkich szumowin. Zdecydował więc, że zrobi tyle, ile będzie mógł, zostawiając przy tym trochę roboty dla policji. W rezultacie do paki trafiły PRAWIE wszystkie lokalne zakapiory.

U szczytu swej popularności samozwańczy szeryf-astmatyk nie mógł się wręcz opędzić od rzeszy fanów. Każdy chciał się ogrzać w blasku jego sławy. A ponieważ on sam lubił być na świeczniku, nigdy nie odmawiał rozlicznym prośbom o zdjęcie, autograf czy pomoc przy promocji jakiegoś miejsca. I choć przykładów na najróżniejsze powstałe dzięki temu „dziwnostki” można by tu mnożyć bez liku, za koronny niech posłuży to, co stało się, gdy Maciek próbował zareklamować ranczo swoich przyjaciół. Wszyscy,

na czele z nim, byli pewni, że to świetny pomysł! W końcu niewiele tego typu miejsc mogło się pochwalić tak znamienitym klientem, jakim podówczas był pan detektyw.

O umówionej godzinie na ranczu stawił się Maciek, a wraz z nim sznur dziennikarzy i fotoreporterów, gotowych uczynić z tego niecodziennego spektaklu temat numer jeden jutrzejszych wydań gazet. Flesze błyskały niczym fajerwerki w sylwestra, zaś prowodyr tego całego zamieszania pękał z dumy. Niestety, pech chciał, że na jednej z fotografii został uchwycony podczas nieudolnej próby inseminacji bydła.

Lokalna prasa zawrzała, wieszcząc upadek moralny oraz koniec kariery genialnego detektywa. W owym czasie jednak nawet takie wpadki nasz bohater potrafił bez trudu przekuć w sukces. Nazajutrz, co oczywiste, wspomniane zdjęcie ukazało się we wszystkich gazetach. Lecz o wiele bardziej niż obrazek uwagę czytelników przykuł podpis pod nim, będący cytatem z Maćka. Brzmiał następująco: *Wam też, oprychy, dobioreę się do tyłka!* W tamtym momencie nikomu nie przyszło do głowy, by wskazać na - powiedzmy - biologiczne nieścisłości tej wypowiedzi. Liczyło się to, że społeczeństwo miało swojego bohatera. Nic, że ten był głęboko w d...

- Dobra, spadaj! Koniec na dziś. Zamykam interes. Detektyw uśmiechnął się, po czym z nieskrywanym wysiłkiem, przytrzymując się blatu baru, zszedł ze stołka.

- Twoja matka powiedziała mi to samo po jednej z upojnych nocy.

- Co ty gadasz?! - wyraźnie obruszył się barman. - Przecież moja matka już dawno nie żyje!

- To tłumaczy, dlaczego była taka oziębła - rzucił przez ramię Maciek, wychodząc z baru.

Na zewnątrz pogoda nie odpuszczała. Widok wiatru porywającego do tańca nieprzebrane ilości śniegu przy akompaniamencie przeraźliwego gwizdu niemal natychmiast pozbawił Maćka wszelkich złudzeń: to nie będzie kolejny przyjemny powrót do domku na bani. Mężczyzna wiedział, że czeka go starcie z siłami matki natury; prawdziwa walka o każdy przebyty metr. Nie miał jednak wyjścia. Mimo widma niechybnej klęski musiał podjąć rękawicę. Uniósł więc kołnierz starego, wymiętego prochowca, zupełnie jakby przywdziewał zbroję, i chwiejnie ruszył do boju.

Pierwszych kilka kroków uszedł, o dziwo, dość szybko, lecz z każdym następnym czuł, że przegrywa. Chłodne podmuchy wszak odbierały nie tylko siły, ale i oddech. Początkowo bohater próbował temu jakoś zaradzić. Parokrotnie sięgał zgrabiałymi dłońmi do kieszeni po inhalator, a następnie, z trudem przyciskając go do spierzchniętych ust, wykonywał wdech. Niestety, seria kilku następujących po sobie wziewów nie przyniosła ulgi, każąc tym samym detektywowi uznać wyższość przyrody nad wątłą istotą ludzką.

Ostatkiem sił Maciek zdołał dotrzeć pod oświetloną witrynę jednego z hipermarketów. Ta, pośród śnieżnej zawieruchy, jawiła się niby latarnia dająca poczucie bezpieczeństwa i ciepła w bezkresie śnieżnego morza.

Po jasnej stronie szyby w oczy rzucał się przedziwny mariaż - ustawione w rzędzie znicze, będące zapewne pozostałością po pierwszym listopada, od góry okryte były precudownymi, kolorowymi i grubymi łańcuchami choinkowymi. Przecież ten, kto wpadł na taki pomysł, powinien natychmiast dostać Nobla w dziedzinie teologii,

jeśli takowy w ogóle istnieje – pomyślał Maciek. – Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek spotkał się z bardziej trafnym, a przy tym delikatnym ujęciem sedna chrześcijaństwa, czyli wiary w to, że śmierć płynnie przechodzi w życie.

Gdy w głowie skończył wypowiadać te słowa, osunął się bezwładnie po chłodnej tafli szkła. Stracił przytomność...

I pewnie gdyby to był jeden z tych słynnych, skandynawskich kryminalistów, na tym skończyłby się ten rozdział, zaś Ty, Drogi Czytelniku, miałbyś przed swoimi oczami wizję malowniczego miejsca tajemniczej zbrodni. Ale ponieważ od początku ta historia miała być czymś dziwnym, innym – musiałem chłopca wybudzić.

Wstawaj! Ej! No już! Panie zaspas, nie śpimy!

Maciek powoli podnosił powieki.

Te, bohater! Nie czas, ani miejsce, żebyś odstawiał tu medleya „Królowy Śnieżki” i „Śpiącej Królowy”! Robota czeka!

– He...?!

Niemrawo wspinał się na wyżyny krasomównstwa.

– Co się dzieje?! Słyszę głosy...

Retor miał wyraźne problemy z liczeniem.

– O co chodzi?!

O to, że masz wstać i rozwiązać najważniejszą w twoim życiu zagadkę, bałwanie! Zaręczam, nie była to obelga, a zwykły opis *de visus*.

– Że co?! W ogóle kim ty jesteś?

Narratorem tej historii, szeryfie.

– Jakim narratorem? Jakiej historii?!

Cytuję za „Słownikiem Języka Polskiego” pod redakcją Witolda Doroszewskiego: *narrator (...) osoba, która opowiada, człowiek chętnie opowiadający; gawędziarz; w utworze literackim: postać opowiadająca przebieg akcji...*

- Wiem, kto to jest narrator. Nie rozumiem tylko, dlaczego cię słyszę? Czy doszło do jakiegoś trwałego uszkodzenia w moim mózgu?

Dopytywał z miną Don Kichota, któremu nagle przestały kręcić się wiatraki.

- Bardzo śmieszne, panie narrator! Bardzo śmieszne! To nie ty obudziłeś się na ostrej bani, pośród śnieżnej pustyni, słysząc jakiś dziwaczny głos w swojej głowie. Na dodatek, kurwa, wszystko jest czarno-białe! Zastrane globalne ocieplenie!

Eureka!

- Rany boskie! Chłopie, nie krzycz tak! I bez tego mi łeb pęka!

Przepraszam, ale w końcu dostrzegłeś istotę całej sprawy.

- Mógłbyś jaśniej?

Proszę. Rozejrzyj się spokojnie dookoła, jak okiem sięgnąć wszędzie tylko dwa kolory...

- Tak, ale...

...ale to nie śnieg. Powołując się na twoje słowa sprzed chwili, wszystko jest czarno-białe. Jak w „Sin City”. Co gorsza, problem dotyczy nie tylko tego miasta. W całym kraju tak jest.

Maciek, aż przykucnął.

- Czeka! Chcesz mi powiedzieć, że nie dość, że straciłem przytomność, słyszę twój głos, jestem przemarznięty do

szpiku kości, to jeszcze biorę udział w jakimś jebanym filmie kryminalnym?

Ty nie potrafiłbyś nawet połączyć kropek w wielokropku, co? Spójrz na swoje ręce. Jakie są?

- Białe...

Właśnie! A przecież dotąd były tak czerwone, że gdybyś osłonił nimi żarówkę w mieszkaniu, sąsiedzi pomyśleliby, że prowadzisz burdel.

- Fakt...

Powiedział drżącym głosem.

- Mógłbyś przez chwilę nie komentować?! Staram się to wszystko ogarnąć.

...

- Czyli jestem jakby bohaterem takiego klasycznego kryminału, tak?

Tak.

- Takiego *noir*, w odcieniach szarości? Zgadza się.

- I ty tę historię opowiadasz? Owszem.

Oczy Maćka nagle rozbłysły dawno niewidzianym światłem, a na twarzy pojawił się znamionujący radość i nadzieję uśmiech.

- Ale super! I będziemy musieli rozwiązać jakąś zagadkę, tak?

Mhm.

- Dawaj mi ją! Wezmę się za to od razu!

Imponował mi jego zapał. Odwrotnie do poziomu higieny osobistej.

- Masz rację, narrator. Przed robotą warto się wykąpać. Idziemy do domu! A w ogóle, skoro to taka detektywistyczna

historyjka, może puściłbyś mi w głowie jakiś klimatyczny jazzik?

Byłem kontent, że w końcu zaczął wykorzystywać moje możliwości. Nie przedłużając, sięgnąłem więc po ścieżkę dźwiękową z filmu „Winda na szafot” i odtworzyłem Maćkowi w myślach. Jemu też wyraźnie pasowała ta nowa, ekstraordynaryjna sytuacja. Nawet śnieg nie stanowił już dla niego wyzwania. Szedł powoli pokrytym białym puchem chodnikiem, ewidentnie wczuwając się z pomocą muzyki w rolę wielkiego detektywa.

- Dobry jesteś w te opowiadanki!

Pochwalił mnie, a kiedy chciał kontynuować, w jego głowie wybrzmiał bardzo głośny blok reklamowy, zachęcający, między innymi, do zakupu syropu na kaszel, specyfiku na katar oraz kremu na dolegliwości grzybicze stref intymnych.

- Boże! Co to, kurwa, jest?

Nie wykupiłeś wersji premium, zatem masz reklamy. Tradycyjnie zresztą nagrane głośniejsz niż treści, które przerywają. Opłać abonament i po problemie.

- Czekaaj, tylko odpalę fajkę.

Przystanął. Sięgnął do kieszeni płaszcza, gdzie chowała się wymięta paczka papierosów. Były to oczywiście czerwone Marlboro. Szybkim uderzeniem palca w „ramkę” sprawił, iż wyrzało z niej kilka szlugów. Wyciągnął jednego, włożył do ust, po czym z kieszeni spodni wyjął zapalniczkę. Kilka razy próbował ją odpalić, ale bezskutecznie. Gdy po raz kolejny miał przejechać kciukiem po kamieniu, usłyszał: Chcesz, by twój konar znów zapłonął?

Mówiłem ci, abonament!

Detektyw roześmiał się i wciąż nie dając za wygraną w kwestii ognia, ruszył do domu.

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

KLIENTKA KLIEN

Kiedy zmęczony wreszcie wdrapał się na ostatni schodek prowadzący na piętro, gdzie znajdowało się jego mieszkanie, będące zarazem biurem, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przed drzwiami opatrzonymi częściowo zdrapanym napisem „Prywatny detektyw” stała, nerwowo przestępując z nogi na nogę, kobieta.

Była to niewysoka brunetka w czarnym, dopasowanym do figury płaszczku. Dostrzegłszy naszego bohatera, od razu ruszyła ku niemu. Wówczas obaj mogliśmy zobaczyć jej niezwykle oblicze. Mlecznobiałą cerę zdobiły małe, nieregularne piegi, które wyglądały niczym kleksy z czarnego inkaustu na gładkiej fakturze papieru. Licu kobiety piękna dodawały także oczy – tak czarne, iż bez trudu poradziłyby sobie na najlepszych parkietach NBA. Śliczne, głębokie, hipnotyzujące, a mimo to, gdy patrzyło się w nie dłużej, szklany woal przesłaniający źrenice opadał, ukazując ogrom smutku i cierpienia, jakie w swoim życiu musiała znieść ta filigranowa istota. Najdziwniejsze jednak było to, co w normalnych warunkach pozostałoby niezauważone: miała krwistoczerwone usta, przywodzące na myśl lubiankę dojrzałych, soczystych truskawek.

- To pan jest tym detektywem?

- Tak...

Odpowiedział zakłopotany zupełnie jak Ewa, gdy w rajcu, dostawszy od Adama dwa sznurki, usłyszała: Uczyni sobie z tego, niewiasto, okrycie wierzchnie, ażeby mnie łono twoje od pługą nie odrywało.

- Chciałam prosić o pomoc.

- Oczywiście, już otwieram biuro.

Widok damy w opresji musiał, po tylu chudych latach w zawodzie, podzielać na naszego bohatera nader motywująco, albowiem z nagłą całą nabral przedziwnego wigoru. Pospiesznie, pewnym krokiem ruszył w stronę drzwi i zanim skończyłem wypowiadać to zdanie, przekręcił klucz w zamku. Następnie, przepelnionym dżentelmeństwem gestem, zaprosił klientkę do środka. Kobieta skinęła tylko głową i przestąpiła próg.

Kawalerka, w której mieszkał Maciek, pozostawiała wiele do życzenia. Zarówno pod względem metrażu, jak i schludności. Pozwól, Drogi Czytelniku, iż w trosce o twój psychiczny dobrostan pominię opis kuchni oraz łazienki, a wspomnę jedynie o pomieszczeniu istotnym dla sytuacji i fabuły, czyli o dużym pokoju. Ten w niczym nie przypominał miejsca, gdzie można by przyjmować jakichkolwiek interesantów czy świadczyć jakiegokolwiek usługi. No, z wyjątkiem wynajmowania powierzchni pod wywóz śmieci, ale niestety... tym Maciek się nie zajmował. Pomieszczenie wyglądało jak melina; wszędzie walały się puste butelki po najróżniejszych alkoholach oraz puszki po piwie spełniające rolę popielniczek. Oprócz tego: sterta dziwnych gazet, stary telewizor, gramofon oraz biurko, które jak miemam, stanowić miało oficjalną część wnętrza.

- Proszę wybaczyć ten.... iście barokowy bałagan...

Zmieszał się, widząc wzrok kobiety spoczywający na tym osobliwym art decor.

- ... nie miałem ostatnio czasu, by posprzątać. Jeśli mogę prosić, niechże pani wejrzy ponad to. Tymczasem proszę spocząć. Coś do picia: kawa? Herbata?

- Nie, dziękuję. Wolałabym coś mocniejszego, jeśli pan łaskaw.

- Wódka?

Zdziwił się.

- Chętnie.

Zdziwił się po dwakroć.

- Ależ naturalnie. Już pędzę!

- Znaczy... własna destylacja?

- Nieee! Miałem na myśli, że szybko pójdę do kuchni po butelkę.

- Rozumiem. Ja po prostu od dziecka lubię wszystko, co swojskie.

- Popieram! Sekunda, zaraz wracam.

Susem zwinnego kota przemieścił się w stronę kuchni, gdzie z lodówki wyjął alkohol, zaś z szafki - dwa kryształowe kieliszki.

- Popieram pani pogląd w stu procentach! Tradycja to wszak ważna rzecz!

Dodał, polewając oleisty niemal płyn. Kobieta uniosła kieliszek do góry...

- Na zdrowie!

... po czym szybkim ruchem wprowadziła alkohol do gardła.

- Zatem, może przedstawimy się sobie? Będzie nam łatwiej. Maciek jestem, a pani godność?

- Apolonia.

- Miło mi.

- Mnie również.

- Więc, pani Polu...

Usiadł za biurkiem naprzeciw klientki.

- ... mogę tak mówić?

- Tak. To forma nawet bardziej powszechna.

- Świetnie. Z czym pani do mnie przychodzi?

Na te słowa brunetka pograżyła się w smutku. Od początku sprawiała wrażenie strapionej, lecz w owej chwili przypominała płótna Petera Breugla, na których, choć dramat i tragizm ludzkiego istnienia wymalowane są w sposób wyraźny i niepozostawiający złudzeń, to dopiero szereg drobnych szczegółów widocznych, gdy patrzy się nań z bliska, nadaje całości głębszego wymiaru, pozwalając w pełni zrozumieć dzieło. Maciek zdał sobie wówczas sprawę, iż kobieta z pewnością skrywa coś więcej niżli tekstylnia pod czarnym płaszczem.

- Wiem, to zabrzmie dziwnie, ale niech mi pan uwierzy, ta sprawa jest bardzo ważna. Byłam już z nią na policji i u kilku innych detektywów wcześniej... Wszędzie odprawiono mnie z kwitkiem. Mówiąc wprost: jest pan moją ostatnią deską ratunku.

Tonąca chwyciła się brzytwy.

- Spokojnie, ja nie postąpię jak moi koledzy po fachu...

Antycypował bez żadnych podstaw.

- W czym rzecz?

- Chciałabym, aby odnalazł pan moje poczucie humoru, radość i optymizm.

- Zaraz! Czy ja dobrze usłyszałem?! Pani chce, bym odnalazł jej poczucie humoru?!

- Tak.

- Żartuje pani sobie?

Dopiero kiedy powiedział to pytanie na głos, uświadomił sobie, jak dalece było w tym momencie niestosowne.

- Chciałabym...

- Przepraszam, za mój zły dobór słów, ale chyba zgodzimy się, że to dość niecodzienna prośba, prawda?

- Owszem. Niemniej to właśnie z nią przychodzę.

- Dobrze... No cóż... Proszę dać mi chwilę, bym się z tym oswoił.

- Oczywiście.

Odpowiedziała kobieta, a jej wzrok znów powędrował po wszystkich kątach meliniarskiego wnętrza, by po chwili zatrzymać się na sporej stercie miesięcznika funeralnego „Wieko”.

- O! Widzę, że czyta pan „Wieko”! O mnie też już wiele razy mówiono, że to już koniec, żebym się szykowałą, a mimo to jakoś udało mi się przetrwać.

- Czytam, to za dużo powiedziane. Kupuję głównie dla zdjęć rozkładówkowych.

Apolonia próbowała ukryć zdziwienie. Niestety z marnym skutkiem.

- A nie lepsze byłoby jakieś czasopismo dla mężczyzn?

- Ależ droga pani...

Oburzył się fan eschatologicznej stolarki.

- ...mężczyźni również umierają.

- Tak, ale wie pan... Chodziło mi o tak zwane „świerszczyki”.

- Pornografię, proszę szanownej klientki, trzeba dobierać adekwatnie do wieku. Co mi z patrzenia, choćby na najpiękniejszą, rozneglizowaną modelkę, skoro nigdy nie będę miał szansy na zbliżenie z nią. A tutaj, proszę zobaczyć.

Wyjął ze stosiku bardzo spracowany egzemplarz i (zupełnie jakby znał go na pamięć) otworzył na

rozkładówce. Dużych rozmiarów plakat ciemnej trumny naprawdę robił wrażenie. Drewno lśniło, zaś dzięki otwartemu wieku czytelnik zapoznać się mógł z wnętrzem swej, być może przyszej, a na pewno wiecznej, alkowy.

- No niech tylko pani zerknie. „Brunetka”, może trochę szeroka w ramionach, ale za to z jakże pięknym wcięciem w tali. Ponadto, przy tego typu „modelkach”, mam przynajmniej pewność, że w końcu w którąś wejdę.

Kobieta była wyraźnie zakłopotana.

- Może jednak wróćmy do mojej sprawy?

- Naturalnie!

Maciek odłożył z pietyzmem niecodzienną prasę i zaczął.

- Kiedy po raz ostatni widziała... Przepraszam... odczuwała pani swoje poczucie humoru?

- Nie powiem panu dokładnie, bo było to bardzo dawno temu.

- Cóż... a co na to pani rodzina?

- Rodzice nie żyją... Rodzeństwo zajęte jest własnymi sprawami, a dzieci... albo wyjechały za granicę za chlebem, albo nie mają czasu lub chęci, by się mną martwić. I chyba trochę się mnie wstydzą... Brunetka wyraźnie posmutniała, a jej czarne oczy zaczęły się szklić. Maciek patrzył na nią tępo jak ogórek na denko słoika. Po takich słowach ani on, ani ja nie wiedzieliśmy, co powiedzieć. Na dłuższą chwilę w pomieszczeniu zapadła cisza. Trwała aż do momentu, kiedy krasomówczy talent naszego bohatera połączył się w jego głowie z umiejętnościami psychologicznymi, empatią, by finalnie wybrzmieć następującym pytaniem:

- A robiła kiedyś pani dupę bałwanowi?

Mistrz retoryki i taktu! Jak daję słowo! Równie dobrze mógłbyś od razu powiedzieć, żeby strzeliła sobie w łeb z bliska! Wtedy przynajmniej pod koniec życia zaznałaby trochę ciepła. Inna to rzecz, że byłby to przyływ nagły i krótki, ale za to jakże intensywny.

- Słucham?!

Słusznie zdziwiła się kobieta.

- No dupę bałwanowi, czy pani robiła? To bardzo proste! Wystarczy w tej największej i najniżej zarazem osadzonej kuli z tyłu namalować węglem kreskę, dzielącą wspomnianą śnieżną bryłę obrotową na pół do wysokości jednej trzeciej od podłoża. Wertykalną kreskę, ma się rozumieć.

Nic dziwnego, że po tej iście naukowej tyradzie godnej samego Hawkinga klientka natychmiast podniosła się z krzesła i ruszyła do wyjścia. Nim Maciek zdążył spostrzec, chwyciła za klamkę, otworzyła drzwi i na odchodne rzuciła:

- Proszę znaleźć moje poczucie humoru. Mówię bez żartów.

Lodowaty chłód wypełnił pomieszczenie, a tajemnicza dama zniknęła za progiem, zegnając nas echem kroków niosących się po klatce schodowej.

- Co za dzień, narrator! Najpierw wszystko straciło barwy, a teraz to! Gdzie ja mam, do cholery, znaleźć jej poczucie humoru?! Przecież to jakaś abstrakcja! Nawet nie wiem, od czego zacząć.

Brawo geniuszu! Wiesz, co jest najlepsze?

- No?

Nie znasz jej personaliów. Nie masz więc choćby najmniejszego punktu zaczepienia.

- Ha!

Roześmiał się maniakalnie Maciek, niczym Sherlock Holmes zagrany przez Jeremiego Bretta, gdy wpadał na pomysł.

- I tu się pan myli, narrator! Powiedziała wcześniej, że była ze swoją sprawą na policji. Jeśli to prawda, mam tam kogoś, jeszcze ze starych czasów, kto na pewno będzie coś wiedział i podzieli się tym z nami. Pozwól jednak, że zajmiemy się tym rano. Teraz chcę, by ta zwariowana noc już minęła.

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

RUBAS GRUBAS GR

Komisariat policji, obłany barwami stanowiącymi najbardziej elementarną definicję kontrastu, wyglądał przerażająco. Każdy uszczerbek na mlecznobiałej, leciwej fasadzie zdawał się być jeszcze głębszy, straszniejszy, smutniejszy. Zupełnie jakby budynek płakał atramentowymi łzami nad korupcją większości tych, którzy w nim pracowali.

Maciek podszedł do zamontowanego tuż przy starych, drewnianych, dwuskrzydłowych drzwiach domofonu i nacisnął przycisk łączący z oficerem dyżurnym.

- Mówić!

Wybrzmiało z małego głośniczka.

- Do komisarza Krockiego.

- Wejść!

Ostry brzęk dał sygnał, że zamek w drzwiach został tymczasowo zwolniony. Detektyw złapał za klamkę, odciągnął jedno ze skrzydeł do siebie i wszedł do środka.

Widok wnętrza komisariatu z pewnością wzbudzić mógł dysonans poznawczy. Szczególnie w kimś, kto byłby tu pierwszy raz. Podczas gdy na zewnątrz całość przypominała sierociniec, wyciągnięty żywcem z horrorów, i to tych japońskich, interior był zgoła inny; nowoczesny. Przywodził na myśl komisariaty z amerykańskich seriali początku drugiej dekady lat dwutysięcznych. Wszystkie drzwi były przeszklone, a długie korytarze raziły (sterylną wręcz) bielą od podłogi przez ściany, aż po sam sufit regularnie ozdobiony rzędem jarzeniówek. Do tego wszędzie wścibskie oczy kamer.

Pośród tego całego orwellowskiego modernizmu Maciek w swoim wysłużonym płaszczu wyglądał, niczym niechciany paproch na nieskazitelnej powierzchni szklanej szkatuły. Zresztą tak też traktowała go większość policjantów. Zdradzał to nawet wzrok dyżurnego, pełen politowania i pogardy.

- Krocki już schodzi.

- Dzięki.

Mundurowy uśmiechnął się i odwrócił w stronę telewizora, na którym właśnie leciały obrady sejmu. Zwykle zostałyby to prędko przełączone na coś bardziej rozrywkowego. Jednak tego dnia głosowano nad tak zwaną „listą autorów wyklętych”. Był to spis twórców, których dzieła, w opinii parlamentarzystów, niszczyły społeczny ład, godząc w najważniejsze wartości takie, jak rodzina, tradycja, hipokryzja czy nepotyzm.

Na mównicę wchodził akurat jeden z czołowych posłów partii rządzącej - Kaczewski. Postać wyjątkowo odrażająca. Człowiek tak nienawistny i mały, że aż niski. Zapamiętały wróg związków partnerskich, in vitro oraz Zachodu (tak, tego zgniłego), a po godzinach miłośnik Chopina, Dmowskiego i rozwiąłości. Zaczął od charakterystycznego sobie mlaśnięcia.

Szanowny Panie Marszałku, Najwyższa Izbo! Niezmiernie się cieszę, że mój przedmówca, poseł Biodro, wspomniał już o niejkiej pani Krajewskiej oraz jej, co tu dużo mówić, wywrotowej i lewackiej książce „Przywódczyni”. Zaręczam, że była ona także na szczycie moich propozycji do omawianej tu listy. Dlatego też dziękuję panu posłowi, że zwolnił mnie z przykrej konieczności mówienia o tym bezceństwie.

Pozwolę sobie zatem przejść do kto wie, czy nie bardziej demoralizującej postaci. Otóż, Panie Marszałku, Najwyższa Izba, z nieskrywaną odrazą mówić będę o Marii Konopnickiej.

Sala wydała jęk, będący wyrazem dezaprobaty wobec przywołanej postaci.

Tak, rozumiem państwa oburzenie, ale niestety, dla czystości moralnej naszych szkół i bibliotek, musimy przez to przejść. Pochylę się w swoim wystąpieniu nad najbardziej obrazoburczym, a zarazem najpopularniejszym jej dziełem pod tytułem „Sierotka Marysia i Siedmiu Krasnoludków”.

Po pierwsze, namawianie dzieci do czytania książki, której bohaterką jest sierota, wpływa na osłabienie (już we wczesnym stadium) ich wiary w niezawodność polityki prorodzinnej, a nadto wpływa destrukcyjnie na kształtowanie właściwego obrazu rodziny jako organizmu pełnego, czyli takiego, w którym szczęśliwe dzieci mają szczęśliwych rodziców. I na odwrót.

Po drugie, sierotka Marysia, odłączając się od społeczeństwa i zamieszkując z krasnoludkami, wpisuje się w nurt popularyzacji przechodzenia do grup autonomicznych oraz ich akceptacji w obrębie państwa. Chcę się wyrazić jasno: nie ma na to naszej zgody, bowiem w jedności narodu tkwi siła!

Po trzecie, i ostatnie, fakt zamieszkania młodej dziewczyny z siedmioma, co prawda nierosłymi, ale brodacami można by zakwalifikować jako szerzenie sodomii.

Przy tych wszystkich argumentach najmniej istotny wydaje się być fakt, iż imię i nazwisko autorki wspomnianej książki odnosi się wprost do marihuany.

Od dalszego przysłuchiwania się tym ekstremistycznym farmazonom naszego bohatera uwolnił znajomy głos.

- Maciek! Co to się stało? Przyszedłeś zgłosić zaginięcie? Czyżbyś nie wiedział, gdzie podział się wczorajszy dzień albo nawet tydzień?

Słowa te wypowiedział komisarz Alfred Krocki; około pięćdziesięcioletni mężczyzna o fizjonomii łączącej cechy kuli armatniej i wieprza, dodatkowo odznaczający się delikatnością nadgorliwego rzeźnika. W kryminalnym otwarcie mówiło się, że to prostak, którego chamstwo zostało usankcjonowane w majestacie Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w dniu, gdy Krocki otrzymał odznakę. Miał na swoim koncie wiele rozwiązanych spraw, choć nigdy się tym nie przechwalał. Uważał, że robi to, co do niego należy, a do czego innym najwyraźniej brak odwagi lub szaleństwa. Skromny buc - połączenie niemal niemożliwe, znalazło spełnienie właśnie w tym facecie z nadwagą. Taki stan rzeczy bardzo pasował Maćkowi, ponieważ jako prywatny detektyw zjadł zęby na zdejmowaniu ludziom masek. Często wbrew ich woli. Dlatego, kiedy miał przed sobą tak otwartą (charakterologicznie) księgę, jak pan komisarz, musiał czuć wobec podobnej postawy sympatię. Może nawet podziw. Nie bez znaczenia było także to, że panowie znali się od lat. I mimo że nie dało się tej relacji nazwać zażyłą, obu łączyła jakaś dziwna nić porozumienia, każąca podchodzić do siebie ze zgryźliwym szacunkiem.

- Cześć...

Powiedział Maciek, ściskając serdecznie dłoń Alfreda.

- Chodź na stronę.

Odeszli w głąb korytarza, odprowadzani ciekawskim wzrokiem dyżurnego.

- No, trukaj, co trzeba?

Zaczął w swoim stylu Krocki. Bez ogródek.

- Słuchaj, Alfred, wiem, jak to dziwnie zabrzmi, ale czy tobie też wszystko wydaje się czarno-białe?

- He, he, he! Przecież masz świadomość, że w życiu w ogóle, a w tej robocie szczególnie, nic takie nie jest. No może czasem.

- Tak, wiem, ale ja nie o tym.

- A o czym?

- W sensie... czy świat dookoła nie wydaje ci się jakiś taki... pozbawiony kolorów?

- Stary, od dawna! Znasz początek mojego PESEL-u.

- Cholera, Alfred, chodzi mi o to, czy u ciebie też... Inaczej: widzisz tę tabliczkę z napisem „Wyjście ewakuacyjne”?

- No.

- Jaki ma kolor?

- Zielony.

- A moja bluza?

- Czerwony. Kurwa, o co ci chodzi?

Maciek ściszył głos i nachylił się w stronę komisarza.

- Dobra, trudno będzie ci uwierzyć w to, co za chwilę usłyszysz, ale pamiętaj, znamy się od lat i nigdy nie zrobiłem cię w wała.

Grubas skinął twierdząco.

- Wczoraj, kiedy późnym wieczorem wracałem od Marcela, w pewnym momencie straciłem przytomność.

- O cholera!

- Nie wiem, ile czasu nie kontaktowałem, ale jak się ocknąłem, wszystko było czarno-białe. TYLKO CZARNE

I BIAŁE, Krocki. Dosłownie.

- Lepiej idź na prześwietlenie. Albo nie, zawiozę cię.

Objął Maćka ramieniem, wskazując na wyjście.

- Do cholery! Ja nie zmyślam! Całe miasto ma tylko te dwie barwy. A z dobrego źródła wiem...

Pochwalił mnie.

- ...że problem dotyczy całego kraju!

- Co ty pieprzysz?! Przecież gdyby tak było, trąbiliby o tym wszędzie od rana! W telewizji, w radiu, w internecie. A sam widzisz: cisza. Zero paniki. Stary, czas zmierzyć się z własnymi demonami. Przesadziłeś z procentami i już padło ci na mózg. Smutne, ale prawdziwe, przyjacielu.

Widząc, że w tej sprawie nie znajdzie sojusznika w Krockim, Maciek postanowił zapytać o tajemniczą klientkę.

- Dobra, zostawmy to. Powiedz mi, była tu jakiś czas temu kobieta z prośbą, żebyście znaleźli jej poczucie humoru?

- Ha, ha, ha!

Krocki roześmiał się niczym zbrodniarz nazistowski przekraczający granicę Argentyny.

- Ta szalona brunetka, tak. Daj spokój, mieliśmy z tym taki ubaw, że hej!

- Mniejsza o wasz humor. Spisał ktoś jej dane?

- Chyba żartujesz?

- Niby dlaczego?

- Kogoś takiego nie można traktować poważnie. Zresztą, ty, taki stary lis, sam powinieneś wiedzieć to najlepiej. Chłopaki udają, że słuchają, piszą „niby-protokół”, potakują z wyrozumiałością, zapewniając, że natychmiast ktoś się tą

sprawą zajmie. A gdy tylko taki dziwny petent bądź petentka zamkną za sobą drzwi, wszystko idzie do niszczarki.

- Czyli nie masz na nią namiarów?

- Nie, ale mogę ci powiedzieć, że nie dziwię się, że brakuje jej poczucia humoru.

- A to czemu?

- Skądinąd wiem, że wielokrotnie i burzliwie romansowała z Henrykiem „Wąsem”.

- Z tym antysemitą i nazi-faszolem?

- Tym samym.

- O cholera...!

- Właśnie. Chyba sam rozumiesz, że znajomość z kimś takim nie przysparza uśmiechu.

- Taa...

- Więc, jeśli chcesz się o niej czegoś dowiedzieć, może go odwiedź. Ale proszę cię, bądź ostrożny. Nie dość, że gość jest wysoko postawiony, to na każde jego skinienie czeka banda łysych troglodytów gotowych, aby zrobić wszystko. Wszystkim.

- Wiem, stary, wiem. Normalnie bym go nawet kijem nie tknął, lecz teraz to jedyny trop w sprawie.

Krocki uniósł w zamyśleniu kącik ust.

- Pilnuj się, Maciek. Proszę.

- Spoko, Alfred. Złego licha nie bierze.

Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie i detektyw wyszedł z budynku.

Śnieg wciąż sypał, choć nie tak mocno, jak przez ostatnią dobę. Maciek w zamyśleniu odpalił papierosa, zaciągnął się mocno i, wypuszczając dym, odezwał się do mnie:

- Przed nami, narrator, bardzo trudne spotkanie. „Wąs” to najniebezpieczniejszy koleś w tym mieście. Szalony, z koneksjami i kieszeniami pełnymi hajsu oraz skorumpowanych włodarzy. Cokolwiek robi, czyni to w białych rękawiczkach.

Taka perfekcyjna pani domu świata przestępczego?

- Gorzej, kolego. O wiele gorzej...

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

ZŁY ZŁY ZŁY ZŁY

Konieczność złożenia wizyty panu „Wąsowi” zmusiła nas do udania się na rogatki miasta. Wszak właśnie tam znajdowała się dzielnica, gdzie swoje imponujące, ociekające luksusem domy mieli wszyscy najbogatsi i najbardziej odrażający bufoni. Ludzie, na poczynania których ziemscy współpracownicy Temidy – rękojmie jej sprawiedliwości – byli ślepi. Inna to rzecz, że wystarczyło wspomóc ich konkretną sumą, by ci bez najmniejszych wyrzutów sumienia zaczęli odwracać wzrok od wszelkich przestępstw. Począwszy od mniejszych występków, aż na najpoważniejszych zbrodniach skończywszy. Takim sposobem miejskie imperium zła kwitło bujnie, niby kwiecie na swojskim kompoście. Zaiste, moralnego gnoju było tu po same uszy.

Dom Henryka Dębskiego, zwanego potocznie „Wąsem” z uwagi na chorą fascynację niegdysiejszym „kanclerzem” Niemiec, stał na samym końcu długiego pasażu will. Powiedzieć o tych włościach, że były luksusowe, to tak, jak powiedzieć, że „Księga Dżungli” to historia o trudach adopcji. Niby prawda, lecz więcej w tym niedopowiedzenia. Żeby jeszcze lepiej zwizualizować przepych całości, wyobraź sobie, proszę, Drogi Czytelniku, jedno z najbardziej okazałych sanktuariów w tym kraju – Sanktuarium Matki Bożej Licheńskiej. Otóż w porównaniu z posiadłością Henryka, ową świątynię uznać by trzeba za skromną dobudówkę z podpiwniczeniem. Nawet zza okalającego wszystko wysokiego ogrodzenia naziolski pałacyk atakował oczy

Maćka niesamowitym rozmachem i przepychem architektonicznym. Nie ulegało wątpliwości, że ktokolwiek zaprojektował ten megalomański koszmarek, zrobił, co w jego mocy, aby dzieło oddawało schorowane poczucie wyższości gospodarza.

- Patrz, jak się pobudował! Pieprzony Hugh Hefner w oficerkach.

A to pewnie jego króliczki. Zwróciłem uwagę Maćka na parę młodych byczków kręcących się wokół stróżówki przy bramie wjazdowej.

- Króliczki... Parsknął.

- ...chyba doświadczał! Popatrz na ich bicepsy. Takim pępowinę pewnie odcinali sekatorem, gdzieś w laboratorium. Przecież to jeden wielki mięsień, do którego, tylko z konieczności, matka natura dofastrygować musiała wszelkie niezbędne do życia otwory. Normalnie śmieję się z im podobnych, ale teraz, kiedy mam przed sobą perspektywę rozmowy z nimi, nie jest mi do śmiechu.

To prawda. Bohater robił pod siebie niczym proboszcz poproszony o udostępnienie wykazu wydatków parafii. Pełni obaw podeszliśmy do stróżówki, z której natychmiast wychynął jeden z mięśniaków.

- Czego?

Zainicjował iście uniwersytecki dyskurs.

- Ja do szefa.

- Pan Henryk jest teraz zajęty. Ma właśnie seans z wróżką.

- Z kim?

- Z wrózką, kurwa! Po polsku nie rozumiesz? Idź stąd!

- Spoko...

Detektyw uniósł ręce do góry na znak, że nie szuka bójk.

- ...przekażcie tylko szefowi, że przyszedł Maciek. Detektyw. W sprawie Apolonii. Zobaczymy, jak zareaguje. Jeśli nie będzie chciał mnie widzieć, odejdę.

Krępi młodzieńcy spojrzeli po sobie, po czym jeden z nich wyjął z kieszeni telefon, przesunął kilka razy po ekranie i przyłożył komórkę do ucha.

- Szefie... tak... wiem, że szef zajęty... ale jest tu jakiś Maciek. Podobno detektyw... Spławić? No dobra... tylko, że kazał przekazać, że idzie mu o Apolonię.

Nastąpiła krótka, acz wymowna chwila ciszy.

- Czyli że wpuścić? Dobra.

Kark rozłączył się, machnął do kolegi, a ten nacisnął guzik na pilocie.

- Pan Henryk zaprasza.

Wskazał dłonią na otwierającą się bramę, przez którą bohater przeszedł z nieskrywaną ulgą, żegnając strażników wymuszonym uśmiechem.

Droga pod drzwi posiadłości wiodła wybrukowaną czarną kostką ścieżką ciągnącą się przez ogromny ogród. W lecie zapewne wyglądał on nader okazale; z pełną bujnością kwiatów, zielonością traw i dostojnością drzew. Jednak dziś widok, jaki rozciągał się przed Maćkowymi oczami, należało streścić krótko, sięgając po tytuł jednej z polskich piosenek - na całej połaci śnieg. Gdzie okiem sięgnąć - biel. Zupełnie jakby ktoś na całym terenie

położył czystą kartkę i, nie wiedząc, czym ją zapisać, w różnych miejscach ołówkiem naszkicował pnie oraz beżywotnie wystające z nich nagie gałęzie, na których tylko od czasu do czasu ptaki przysiadają swym cieniem.

Kiedy Maciek wyciągał już rękę, by zapukać, drzwi otworzyły się i wyszła z nich około trzydziestoletnia kobieta. Dystyngowana, zadbana, wyniosła, o wyrazie twarzy dyktatora, któremu właśnie powiedziano, iż to nie ten przycisk odpala atom. Okręciwszy ostentacyjnie czarny szal wokół szyi, rzuciła w stronę odźwiernego:

- Proszę przekazać panu Henrykowi, że w takiej sytuacji tarot, to jedyne, co mogę mu postawić!

Po czym minęła detektywa, jakby ten nie istniał.

- Zła wróżba?

Powiedział do mężczyzny we fraku, nim ten zdążył go przywitać. Jegomość tylko skinął twierdząco.

- Pan domu już czeka. Zapraszam.

Okraślił wypowiedź ukłonem i stosownym gestem ręki.

Wnętrze domu Dębskiego nie pozostawiało złudzeń. Była to świątynia próżności i egoizmu napędzanego forszą. Ogromnych rozmiarów główny hol oświetlało kilka iście pałacowych żyrandoli. Światło odbijało się od ich kryształu z niezwykłą siłą. Jasność panowała nie tylko w każdym zakątku. Kładła się także rażącym w oczy blaskiem na rozmaitych powierzchniach: klamek, poręczy okalających schody oraz na ramach obrazów portretujących przodków gospodarza i jego samego. W takim miejscu strach byłoby umrzeć w obawie przed zmąceniem luksusu, a co dopiero żyć.

Wchodząc po kolejnych stopniach prowadzących na piętro z gabinetem „Wąsa”, Maciek podziwiał. Podziwiał fakt, że przez tyle lat nikt jeszcze tego El Dorado Henrykowi nie ukrócił. Facet przecież miał na sumieniu tyle, że z łatwością winami mógłby obdzielić tysiące penitentów codziennie pukających ze skrucą w okienko konfesjonału, by przeprosić za najzwyklejsze potknięcia. A i to nie stanowiłoby choćby połowy listy jego niecznych występków. Tak, Dębski grzechów miał wiele, a jeszcze więcej złotych, aby na to wszystko uzyskać odpust zupełny, jeśli nie dożywotni. Pukając do jego drzwi, nasz bohater wiedział, że za chwilę stanie oko w oko z człowiekiem, którego sam Belzebub oddelegował na ten odcinek Ziemi. Audiencję w przedsionku piekła czas było zacząć.

- Wejść!

Zaproszenie wybrzmiało niczym rozkaz. Maciek nacisnął klamkę i przestąpił próg.

Niewielkich rozmiarów gabinet, który nie wiadomo jakim cudem mieścił ego gospodarza, spowijał mrok. Mrok duszy właściciela. Ściany dźwigały ciężar drewnianych regałów wypełnionych różnorodnymi książkami, zaś naprzeciw samego wejścia stało masywne drewniane biurko. Niewątpliwe piękno owego mebla szpeciły jednak nazistowskie ornamenty wykonane z przerażającym pietyzmem. To właśnie za tym biurkiem siedział dumny Henryk. Jego oblicze przywodziło na myśl słownikową definicję cynizmu pomieszaną z siedmioma grzechami głównymi. I to wraz z erratą o nieznanym jeszcze nikomu treści.

- Pan Maciek! Czemu zawdzięczam tę osobliwą wizytę? Czy nie powinien pan zdychać na dnie jakiegoś rynsztoku albo łapać choroby weneryczne w najpodlejszym domu uciech?

- Oj, Heniu, Heniu... Lata mijają, a ty dalej potrzebujesz wróżki, żeby mówiła ci, co cię czeka? Wiesz, żaden ze mnie ezoteryk, ale ja za darmo mogę powiedzieć, co skrywa dla ciebie los. Więcej, mógłbym to nawet zrobić przy użyciu tych, pożał się Boże, kart.

Dębski zaśmiał się.

- Cóż... Mam dziś dobry humor. Proszę, oto moja osobista talia. Pokaż, co potrafisz.

Bohater podszedł do biurka. Na blacie, tuż przed Henrykiem, leżały karty tarota rozłożone w idealny wachlarz. Maciek przyjrzał się im przez chwilę, a następnie wyciągnął dwie, kładąc przed Henrykiem jedną z nich.

- Błazen. Tego chyba nie muszę tłumaczyć, ale żeby było profesjonalnie, pozwól, że pokuszę się o interpretację.

Dębski przytaknął.

- Pierwsza karta przeważnie symbolizuje osobę, której stawia się wróżbę. W tym wypadku nie jest inaczej. Kurczę, patrz, niby się nie znam, niby nie umiem, a trafiłem w samo sedno.

Naziol wybuchł śmiechem.

- Spokojnie, Henryk. To jeszcze nie koniec. Teraz zobaczymy twoją przyszłość. Jesteś gotów?

Maciek położył na biurku drugą kartę.

- O! I znowu trafione! Rydwan...

- Rydwan?

- Tak, bo już niedługo wywiozą cię stąd, mówiąc bliższym tobie językiem wojskowym, wprost do ancla. Sam o to zadbam!

Dębski rozparł się wygodnie w eleganckim krześle, złożył dłonie w piramidkę i z charakterystycznym dla szaleńców spokojem przemówił:

- Maciek, że pozwolę sobie mówić po imieniu. Pewnie kiedyś bym się ciebie bał, ale teraz to możesz mi zrobić tyle, co opozycja rządowi albo jeszcze mniej. Gdyby nie sprawa, w której podobno tu przyszedłeś, nawet nie traciłbym czasu na tę rozmowę. Zatem bądź łaskaw nie testować dłużej mojej gościnności i przejdź do rzeczy.

- Chciałem z tobą porozmawiać o Apolonii.

Oczy „Wąsa” błysnęły pełnią szaleństwa.

- Przedziwna kobieta. Intrygująca, mógłbym rzec. Co chciałbyś wiedzieć?

- Podobno coś was łączyło...

- Łączyło to za dużo powiedziane, ale tak, miałem przyjemność obcować z nią wiele razy na przestrzeni kilku lat. Nigdy jednak nie było to coś stałego. Ot, seria przelotnych romansów. Ja lubiłem jej uległość, a ona moją siłę.

Z dumą zaakcentował to ostatnie.

- A wiesz może, jak ona ma na nazwisko i gdzie ją znajdę?

- Tego nie wie nikt. Za to jej, delikatnie mówiąc, przedziwne upodobania to już wiedza powszechna,

stanowiąca zresztą przedmiot wielu plotek.

- Co masz na myśli?
- Nie wierzę, że nie wiesz.
- Bo ty w ogóle nie wierzysz.
- Fakt...

Zaśmiał się mechanicznie.

- ...Pozwól więc, że cię oświecę. Apolonia, widzisz, jest dość specyficzna. Urodę ma nieprzeciętną, ale jej powab to nic wobec iście autodestrukcyjnego charakteru.

- Mógłbyś jaśniej?

- Maciek, czego nie rozumiesz? Kobieta o takiej wrażliwości jest łatwym łupem dla łajdaków, którzy chcą za wszelką cenę odcisnąć swoje lepkie, brudne piętno na tak kruchej, niewinnej istocie.

- Mówisz też o sobie, jak mniemam?

- Nie zaprzeczę. Wróćmy jednak do Apolonii. Przez swoją łatwowierność i dobroduszość wiele razy została skrzywdzona. Jak sam wiesz, rany na ciele leczy czas, ale te w psychice odkładają się na później, by ostatecznie powrócić, niszcząc osobowość nosiciela. Tak też było z nią. Nieprawdopodobne traumy w końcu zaczęły zżerać jej szlachetność. Apolonia coraz częściej oddawała swe ciało każdemu, kto za moment rozkoszy oferował choćby iluzoryczną chwilę uwagi.

Zawiesił głos na moment, po czym kontynuował:

- Pewnie sądzisz, że ja w tym przodowałem. Otóż nie, szanowny detektywie. Kobieta, o którą pytasz, na liście swoich partnerów, oprócz mnie, ma również wielu

urzędników miejskich, biznesmenów, parlamentarzystów, a nawet duchownych.

Rzekł z kąśliwą radością.

- Duchownych?!

- Owszem. I to tych wysoko postawionych, ale wybacz, ich imiona i nazwiska zachowam dla siebie. Czuję, że jeszcze mogą mi się przydać.

W pomieszczeniu zapanowała wymowna cisza. „Wąs” wstał od biurka, podszedł powoli do Maćka i chowając obie dłonie w kieszeniach dobrze skrojonych, szarych spodni, zapytał:

- Powiedz, tak szczerze, z czym ona do ciebie przyszła?

W co cię wciągnęła?

- Wybacz... tajemnica zawodowa.

- Rozumiem... Zabawne... Nigdy nie sądziłem, że będę chciał ci pomóc.

- A chcesz?

- Na pewno chcę cię ostrzec.

- Przed czym?

- Raczej „kim”?

- Więc przed kim?

- Przed tą kobietą. Uważaj, detektywie. Ona potrafi przynieść ze sobą spore kłopoty.

- Kłopoty to moje drugie imię.

- Cóż, w takim razie będzie się świetnie prezentowało w akcie zgonu.

Szczerść w głosie kreatury pokroju Dębskiego musiała zrobić na naszym bohaterze niemałe wrażenie, bo przez moment stał jak wryty. Bez słowa.

- Dobra, Maciek, na ciebie już chyba czas. Ty mnie uraczyłeś wróżbą, pozwól zatem, że ja cię wróżbą pożegnám.

- Śmiało. I tak nie wierzę w te dyrdymały.

Henryk uśmiechnął się, odwrócił w stronę biurka, z którego podniósł jedną z kart tarota. Następnie nie podglądając, pokazał ją detektywowi.

- Uważaj, żebyś tak nie skończył.

Maciek utkwiał wzrok w kartoniku. Był na nim mężczyzna przywiązany do najwyższej gałęzi drzewa za nogę. Do tego jeszcze podpis widniejący pod obrazkiem... Nie pozostawiał miejsca na interpretację, za to brzmiał przerażająco dosadnie: wisielec.

- Spokojnie, Heniu, złego licha nie bierze.

Próbował udawać twardziela.

- Złego nie, ale ty jesteś jednym z ostatnich dobrych.

- Myślisz, że kupisz mnie tanimi pochlebstwami? Bądź pewny, że jeszcze tu wrócę. Po ciebie. Razem z policją.

Po tej niekonwencjonalnej wymianie uprzejmości mężczyźni pożegnali się tyleż oficjalnym, co chłodnym uściskiem dłoni. Kiedy Maciek odchodził, Dębski rzucił, niby od niechcienia:

- Poczekaj w holu. Mój służący zamówi ci taksówkę.

Detektyw odwrócił się w jego stronę.

- Dzięki. Powiedz mi jeszcze, gdzie znajdę tę Apolonię?

- Nawet nie próbuj. To ona znajdzie ciebie.

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

TAKSÓWKARZ TAI

Taksówka powoli sunęła przez ośnieżone miasto w kierunku biura detektywa. Maciek w milczeniu patrzył przez szybę. Czerń i biel już mu nie przeszkadzały. Zaczynał wręcz je lubić. Może dlatego że w jego mniemaniu nadawały wszystkiemu jakiejś przedziwnej, poetyckiej melancholii, z którą teraz, podczas rozwiązywania zagmatwanej sprawy Apolonii, było mu nad wyraz po drodze.

Nagle ze stanu niemal sennego zamyślenia wyrwał go ochryply głos około czterdziestopięcioletniego taksówkarza, mającego dotąd w ustach wykałaczkę.

- Baba?

- Słucham?

- Problemy z jakąś babą, co?

Zapytał, spoglądając w lusterko z rubasznym uśmiechem.

- Można tak powiedzieć.

- Powiem panu coś. Mój kolega mówi, że z babą to trzeba jak z drzwiami od poloneza.

- To znaczy?

- Trzeba mocniej trzasnąć, to się zamknie.

Ów motoryzacyjny dowcip taksówkarz okrasił śmiechem, który również można by opisać językiem automobilizmu; przypominał rżenie silnika wielokrotnie odpalanego „malucha”.

- Panie, a może ja pana trzasnę?

- A to niby czemu?!

- Bo, kurwa, mamy przecież równouprawnienie.

- Coś pan taki przeczulony?! Pewnie z tych „ciepłych”, co?

- A pan co? Kampania promująca homofobię?

- Nie, ale wkurzam się, bo mi łażą po ulicy i sodomie tą swoją uprawiają!

Detektyw zagotował się, jak, nie przymierzając, woda w czajniku.

- Facet! Ty tak myślisz czy tylko pieprzysz, żeby nie było słychać, że wycieraczki chodzą?!

- Jak się nie podoba, to mogę wysadzić!

- Śmiało! Już! Stawaj!

Taksówkarz zatrzymał się przy najbliższym chodniku.

- Będzie pięćdziesiąt.

Maciek wypiął się z pasa, otworzył drzwi, wyjął z kieszeni kilka banknotów, po czym rzucił na siedzenie pasażera.

- Masz tu trzysta i pędem pod filharmonię.

- Filharmonię?

- No, może potrzebują tam jakiegoś cymbała.

Skwitował, zamykając drzwi taksówki od zewnątrz, a gdy auto odjechało, odezwał się do mnie:

- Wybacz, narrator, resztę drogi musimy zrobić z buta.

Spoko, też miałem ochotę mu przygadać. Wiesz co, Maciek? Fajny z ciebie gość!

- He, he! Z ciebie też. A właśnie, jak już tak sobie idziemy i gadamy, to powiedz mi, może to głupie, ale czy ty masz w ogóle jakąś rodzinę? Są jacyś państwo Narratorstwo czy coś?

To nie jest głupie. To nawet miłe, dziękuję! Tak, mam dwóch braci.

- Opowiedz coś o nich.

Jeden, ten bardziej wrażliwy, pracował jakiś czas temu z panią Tokarczuk. Współpraca ułożyła się im tak dobrze, że trafił nawet na okładkę.

- „Czuły Narrator”... No tak! Eeee, to ty z dobrej rodziny jesteś. Takiej z tradycjami.

Niekoniecznie...

- Bo?

Mój drugi brat, zresztą młodszy, musiał przejść na wcześniejszą emeryturę...

- Co?! Czemu?

A daj spokój...

- No mów!

Nie.

- No dajesz!

„Trzysta sześćdziesiąt pięć...”

- Dobra! Nie kończ! Biedaczysko! Co z nim teraz?

Terapeuta kazał mu w lesie robić za echo. Podobno ma go to wyciszyć.

- Pozdrów go ode mnie, jak będziecie gadali.

Dobra, na pewno się ucieszy.

Na miłej pogawędce zeszła nam cała droga, aż pod same drzwi mieszkania Maćka. Uśmiech jednak szybko zniknął z jego twarzy, gdy, wyciągnąwszy klucze, spostrzegł, iż drzwi są otwarte. Niemal natychmiast instynktownie przylgnął do nich bokiem. Lewą dłoń spokojnie położył na klamce, zaś prawą sięgnął po spluwę. Co?! Spluwę?! Ty nosisz takie rzeczy, a ja o tym nie wiem?! No pięknie! Przecież to niebezpieczne!

- Cicho.

Powiedział szeptem, acz stanowczo.

- Niebezpiecznie to może zaraz się zrobić. Ubezpieczaj mnie.

Dobra! Zaraz, ale... że jak?

- Normalnie. Ja będę powoli otwierał drzwi, a ty mów, co widzisz.

OK.

Jak powiedział, tak uczynił. Trzymając gotowy do strzału pistolet mniej więcej na wysokości policzka, ostrożnie popchnął drzwi do wewnątrz pomieszczenia, odsłaniając tym samym, kawałek po kawałeczku, coraz większą część pokoju.

- I co? Widzisz coś?

Czysto.

- Dobra, wchodzę.

Ale...

Nim zdążyłem cokolwiek dopowiedzieć, Maciek dostał potężny cios w tył głowy i padł nieprzytomny na podłogę.

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

AK RAD^CZAK RAD^C

Detektyw ocknął się. Przywiązany do krzesła. Pokój, w którym się znajdował, był mały, około sześciu metrów kwadratowych. Panował w nim chłód, a nieprzyjemny zapach wilgoci kłuł w nozdrza odorem zapomnienia. Z sufitu zwisał zakurzony żyrandol z kloszem skrywającym małą, okrągłą żarówkę. Stanowiła ona jedyne źródło światła, albowiem z jakiegoś powodu okna były obklejone dużymi płachtami czarnego, nieprzepuszczającego żadnych promieni - czy to słońca, czy księżycy - materiału. Środek pokoju zajmował metalowy stolik, przypominający swą topornością wyposażenie prosekatorium sprzed kilku dekad. Na blacie leżała napoczęta paczka papierosów, a tuż obok najważniejsze dla niej towarzystwo: zapalniczka oraz popielniczka.

Sytuacja wyglądała, co tu dużo mówić, nieciekawie. Jednak nie to zaprzątało teraz myśli naszego bohatera.

- Mówiłeś, że było czysto.

Bo było.

- A ten ktoś, od kogo dostałem w łeb?

Miałem o nim mówić...

- Miałeś? Jak to miałeś?! Co, u licha, z tobą jest nie tak?!

Nie czepiaj się, dobra?! Ze mną wszystko jest w porządku. Nie moja wina, że na opisywaniu pomieszczeń w szkole wszystkich narratorów od małego uczą prostej zasady: od ogółu do szczegółu. W tamtej sytuacji ogólny plan stanowił twój niewielkich rozmiarów przedpokój, który zresztą, jak na ciebie, był właśnie czysty. Dlatego też od niego zacząłem i powiedziałem to, co powiedziałem.

- To jakieś bzdury!

Nie przerywaj! Za to ten koleś, co cię znieprzytomnił był, podpadał pod szczegół. Stąd chciałem wspomnieć o nim chwilę później, ale już nie zdążyłem.

- Obiecuję ci, że jeśli jakimś cudem wyjdziemy z tego cało, dopilnuję, żeby jedynym miejscem, gdzie znajdziesz zatrudnienie, było kino nieme.

Taki z ciebie chojrak?! Jak zaraz puszczę wiązanekę...

Naszą sprzeczkę przerwał metaliczny dźwięk zwalnianego rygla. Drzwi otworzyły się, a do pomieszczenia wpadło światło, które jednak momentalnie przysłoniła ciemna sylwetka mężczyzny. Ów jegomość szybko zamknął za sobą drzwi i stanął tak, by jasność żarówki dokładnie ogarnęła całą jego postać.

Przypominał konika polnego; wysoki, bardzo szczupły, by nie rzec chudy. Rysy miał ostre, czego apogeum był nos. Wyglądał bowiem niczym stalówka wiecznego pióra, osadzona między dwiema malutkimi, jaśniejącymi czarnymi perłami. Ich głębia, rozbieganie oraz iście szaleńczy błysk nie zapowiadały niczego dobrego. Jeśli dodać do tego kruczoczarny, skrojony na miarę garnitur i luksusowe lakierki w tym samym kolorze, wiadomym było, że to nie jakiś podrzędny bandzior, lecz ktoś o wiele gorszy - zbir *premium*.

- Kim jesteś?! Dlaczego mnie porwaliście?!

Maciek wyrwał się jak kartka z zeszytu.

- Ha, ha! Porwaliście? Ależ skąd! My pana tylko dostarczyliśmy.

- Gdzie?

- Tu.

- Po co?

- Ależ pan narwany...

Zaśmiał się.

- ...Spokojnie. Już niedługo wszystkiego się pan dowie.

- Jeśli ma to coś wspólnego z Apolonią, to...

- Szanowny panie, wszystko w swoim czasie. Za chwilę przybędzie tu osobiście, podkreślam, osobiście, towarzysz Radczak z centrali i objaśni panu to i owo.

- Kto przybędzie?

- Towarzysz Radczak. Człowiek o najwyższych zasługach na polu zachowania społecznego spokoju i równowagi Najjaśniejszej Rzeczypospolitej. Prawdziwa szara eminencja naszego wspaniałego rządu. Nikt nic o nim nie wie, lecz on wie wszystko o wszystkich.

- Ale co to ma wspólnego ze mną? Czy ja burzę społeczny ład?

- Proszę wybaczyć, ale nie zobligowano mnie do podawania panu takich informacji. Powiem tylko, że musi być coś na rzeczy, skoro sam Radczak we własnej osobie zaaranżował to „małe spotkanie”.

- Nic nie rozumiem...

- Cierpliwości.

Po jakichś czterdziestu minutach wypełnionych niczego niewnoszącą do fabuły przepychanką słowną obaj panowie zwrócili oczy w stronę drzwi, które znów się otworzyły.

Do pomieszczenia wszedł niski, przygarbiony, siwiejący już jegomość. Twarz miał skrytą w kołnierzu płaszcza, a szyję skrupulatnie owiniętą długim, kraciastym szalem. Ciemne dzinsy i widocznie wysłużone zimowe obuwie... Całość obrazka zupełnie nie wskazywała na kogoś wysoko postawionego. A jednak. To był on. Stało się to jasne, gdy

rozpiąwszy płaszcz, wyjął z wewnętrznej kieszeni małą, czarną legitymację i mignął nią przed nosem konika polnego.

- Czuwaj, towarzyszu Radczak!

Zasalutował, wyprężając się jak struna, na co Radczak tylko machnął ręką z politowaniem.

- Dajcie już spokój tym konwenansom...

Przemówił ochryłym głosem.

- Zresztą temu panu też dajcie spokój. Odmaszerować. My tutaj sobie świetnie damy radę sami, prawda?

Zapytał, zerkając na Maćka z szelmowskim uśmieszkiem. Bohater jednak nie odpowiedział. Pewnie miał być to wyraz jego hardości, lecz tak naprawdę z rosnącym zdenerwowaniem obserwował rozwój owej niecodziennej sytuacji. Był niczym Sokrates: wiedział, że nic nie wie.

Gdy tyczkowaty zbir zamknął za sobą drzwi, Radczak podszedł do metalowego stołu, a każdy jego krok powodował fizycznie odczuwalny wzrost napięcia w dusznym pomieszczeniu. Towarzysz oparł się o mebel, sięgając uprzednio po leżące na nim papierosy oraz zapalniczkę. Odpalił szluga i zaczął:

- A więc to pan...

- Co ja?

- Pan jest tym, który się obudził.

- Obudził?!

Towarzysz zaśmiał się.

- Paradne! Ujrzał pan prawdę, a mimo to nie zdaje sobie z tego sprawy.

- Znaczy z czego?

- Niech pan mnie poprawi, jeśli się mylę, ale czy ostatnio świat nie wydaje się mu jakiś taki czarno-biały?

Mocno zaakcentował ostatnią część wypowiedzi.

- Nawet pan nie wie, jak bardzo...

- Proszę mi wierzyć, wiem.

- I dlatego tu jestem? Bo ni stąd ni zowąd zapadłem na jakąś ekstremalną formę daltonizmu?

- To nie daltonizm, panie Maćku. To prawda.

- A mógłby pan rozwinąć wypowiedź?

- Z największą przyjemnością. Pozwoli pan jednak, że wcześniej go uwolnię. Sądzę, że wówczas będzie się nam lepiej rozmawiało.

- Nie boi się pan, że ucieknę?

- He, he! Nie da się uciec przed przeznaczeniem. Poza tym wydaje mi się, że pańska ciekawość weźmie górę nad nieracjonalną próbą ucieczki.

Radczak podszedł do Maćka, odwiązał go i poczęstował papierosem.

- Dym pomaga skupić myśli.

- Nie zaprzeczę.

Powiedział detektyw, zaciągając się.

- Zatem jest pan tu, gdyż dostrzegł realny obraz naszej rzeczywistości.

- A inni tego nie widzą?

- Nie.

- Dlaczego?

- Bo nie chcą. Pokolorowali sobie świat jaskrawymi barwami własnych przekonań i tkwią w tej ułudzie, sądząc, że wszystko, co złe i nieprawdziwe, jest wyłącznie po stronie osób o przeciwnych poglądach, bo tutaj to jest cacy.

- Zaraz, zaraz, z tego, co mówił tamten dryblas, pańskim zadaniem jest utrzymanie społecznego ładu, tak?

- Owszem.

- Więc takie zradykalizowanie społeczeństwa jest panu nie na rękę.

- Wręcz przeciwnie.

- Jak to?

- Nic prostszego, panie detektywie. Kiedy ludzie się kłócą i mają na oczach klapki zrobione z różnych idei, nie dostrzegają wówczas całej złożonej prawdy, dzięki czemu rządzącym jest łatwiej nimi manipulować...

Maciek tylko westchnął, a Radczak kontynuował.

- Kiedyś, gdy ludzie czytali, poszerzali swój światopogląd na wszelkie możliwe sposoby, było nam trudniej. Dziś, gdy większość porzuciła racjonalną analizę rzeczywistości na rzecz czerpania wiedzy z nagłówków, aby stworzyć konflikt, wystarczy „pogrzebać” przy słowach.

- Przy słowach?

- Tak. Mówi o tym zresztą pewna, stara jak mniemam, maksyma. Nie wiem, może pan słyszał: bądźcie uważni, gdyż dzisiejsze słowa staną się początkiem jutrzejszych wojen. Gdybyśmy o tym pamiętali, zaręczam panu, straciłbym pracę, bo nie byłoby żadnych podziałów. Ale, że naród w swej masie jest głupi i ma pamięć jętki, wystarczy troszkę podziałać w mediach społecznościowych na rzecz wypchnięcia z codziennego użytku słów, które nie są nacechowane emocjonalnie. Następnie zastąpić je tymi soczystymi, radykalnymi, potrafiącymi od razu nie tylko wskazać, ale też z miejsca napiętnować czy wręcz zdyskredytować wroga. I proszę! Gleba pod spór gotowa.

Tu towarzysz zrobił krótką pauzę.

- Widzi pan. Po latach nawet mnie się to udzieliło.

- Znaczy co?

- Od razu powiedziałem „wroga”. Mogłem przecież użyć zwrotu „osoba o odmiennych poglądach”. Zresztą, teraz także i te „odmienne poglądy” stały się zwrotem pejoratywnym. Dawniej „odmienne” znaczyło tyle, co „inne”. Współcześnie natomiast, jeśli ktoś ma odmienne zdanie od nas, niemal natychmiast kodujemy ów pogląd jako ZŁY. Zły, ponieważ inny. Zły, bo nie nasz, czyli nie taki, jaki być powinien.

- Racja...

Zasmucił się Maciek.

- Wie pan, co najbardziej lubię w tej robocie?

Radczak kontynuował, nie czekając na odpowiedź:

- Wmawianie ludziom, że trzeba opowiedzieć się po którejś ze stron, uzasadniając to tym, że dopiero wtedy stajemy się prawdziwymi hetmanami, rycerzami w wielkim, cywilizacyjnym starciu idei. W starciu dobra i zła. Oczywiście, są to „dobro” i „zło” pisane małą literą. Podobnie jak mali są przywódcy, którzy się na ów konflikt powołują. Niemniej, w mowie nie słyhać, że coś jest z małej, gdyż wszystko brzmi, jakby było z wielkiej. Tak to dobro i zło zostaje każdorazowo zredefiniowane przez partyjnych kacyków na rzecz jedynie słusznej sprawy.

- Tylko która sprawa jest słuszna?

- Właśnie, panie Macieju. Na tak postawione pytanie zawsze, z obu stron, padnie ta sama odpowiedź: NASZA. Natomiast takie osoby, jak pan, nie dość, że nie widzą się po żadnej ze stron, to jeszcze mają czelność kwestionować ów

społeczny ład konfliktu. Zaczynają rozumieć, że jesteśmy tylko pionkami na politycznej szachownicy, a rozgrywka trwać będzie w nieskończoność. I takich świadomych obywateli boją się politycy zarówno z lewa, jak i z prawa, gdyż wiedzą, że ten, kto myśli, jest wrogiem demagogii. Tej, którą oni wykorzystują bez przerwy. Nie możemy pozwolić, aby kwestionowano owo wielkie starcie idei. Kończąc, powiadam: to, co się dzieje w naszym kraju, to krucjata przeciw zdrowemu rozsądkowi. Ja zaś i moi ludzie, musimy pilnować, by trwała, bo głupkami zaślepionymi ideologią łatwiej się rządzi.

Po tych słowach znów na pewien czas pierwsze skrzypce zagrała cisza. Trwała. Brzmiała. By słowa wypowiedziane przez Radczaka mogły się zakorzenić w umyśle naszego bohatera. Kiedy już dźwignął intelektualnie gatunkowy ciężar tego, co przed chwilą usłyszał, zabrał głos:

- Czy mogę zadać panu dwa pytania, oczekując jednocześnie szczerzej odpowiedzi?

- Oczywiście.

- Pierwsze: dlaczego mi pan to wszystko zdradził?

- Bo wiem, że nie będzie pan miał już nigdy okazji, by komukolwiek o tym opowiedzieć. Sądzę, że rozumie pan ten subtelny eufemizm dotyczący jego przeszłości?

- Tak...

- Cieszę się, a drugie?

- Skąd pan, tudzież państwo, wiecie... hmmm... że widzę inaczej?

Towarzysz uniósł ręce ku górze, jakby domagał się nadprzyrodzonej interwencji.

- Nie! No, nie! Przecież jest pan detektywem. Przejrzałym, bo przejrzałym, ale jednak. Proszę użyć zmysłu dedukcji.

Na odpowiedź ze strony Maćka nie trzeba było długo czekać.

- Krocki...

- He, he! Trafiony-zatopiony! I patrząc na Alfreda, to bardziej galera niż mikry jednomasztowiec, więc brawo!

- To sukinkot!

- Po cóż te inwektywy, detektywie? Trzeba być skończonym głupcem, by wierzyć, że buc i cham pokroju Krockiego doszedł tak wysoko bez żadnej protekcji. Pan też musiał coś wiedzieć lub chociaż przeczuwać...

- Wiedziałem, że coś tam kroi na boku. Jakieś dziwne interesy ze służbami... ale sądziłem, że już dawno urwał się z tej smyczy.

- Panie Maćku, ludzie, którzy kiedykolwiek pracowali dla służb, mogą się urwać, jak to pan ujął, „z tej smyczy” tylko w jeden sposób.

- W jaki?

- Gdy odcina się ich od niej, by ciało nie wisało dłużej na gałęzi.

Radczak zgasił papierosa, dociskając jego resztkę do dna popielniczki, po czym wypuścił chmurę dymu z ust.

- A więc to koniec? I tej rozmowy, i mojego żywota?

Zagał bohater, nie schylając karku przed nieuniknionym.

- Tak. Dziękuję za rozmowę. Nie będę już nakazywał pana ponownie wiązać. Niechże te ostatnie chwile miną panu choć w pozornej wolności. Zostawiam też fajki i zapalniczkę. Posiłku, niestety, nie będzie.

Jegomość ruszył w stronę drzwi, zastukał weń kilkakrotnie, zawołał strażnika, a gdy ten zwolnił rygiel, Radczak zniknął po drugiej stronie drzwi.

Kolejna na liście odwiedzających była Śmierć.

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

MISTRZ ZEGARMI

Maciek chodził z kąta w kąt. Milczał. Od czasu do czasu ciszę przerywały jedynie jego kroki oraz odgłos wypuszczanego dymu, przepełnionego nie tylko substancjami smolistymi, ale także uczuciem kapitulacji.

I co? Będziesz im tak podeszwami kurz zamiatał?

- Fakt, powinienem się jeszcze rozplakać, żeby było na mokro.

Przestań pieprzyć! Weź się w garść i wymyśl coś!

- Ale co? Zmyślny plan ucieczki przy użyciu stołu, sznurka, żarówki, krzesła, paczki fajek, zapalniczki i popielniczki?! Wybacz, żaden ze mnie MacGyver.

Pamiętam go! W pierwszym odcinku zatamował wyciek kwasu czekoladą.

- No... A ja tu nawet czekolady nie mam.

No to kwas...

- W rzeczy samej, przyjacielu. W rzeczy samej...

Znów zapadła cisza, lecz tym razem nic nie wchodziło jej w paradę. Obaj, chyba z rozmysłem, pozwoliliśmy, by przez chwilę spokojnie wybrzmiała. To była właśnie ona. Minuta ciszy. Ta sama, po której ludzie na uroczystościach odkastują, dziennikarze newsowi mówią: „przejdźmy do najważniejszych informacji dnia”, a nastolatki z ulgą zauważają, że w ich komórce pękło tylko szkło hartowane. Tak. Pełno jest w życiu sytuacji, kiedy to właśnie w tych sześćdziesięciu sekundach zamykamy cały ból swego istnienia; każdy lęk, obawę, ale tylko po to, żeby za moment to wszystko puściło, a ktoś z drugiego końca stołu mógł

radośnie zakrzyknąć: „dawać rosół!”. Nas natomiast z rosółem łączyło niewątpliwie jedno – byliśmy ugotowani.

W końcu postanowiłem zagaic, nie odbiegając przy tym zanedo od nastroju.

Ty, a jak ty sobie wyobrażasz niebo?

– Ja? Niebo?!

No.

– Ale po co? Przecież ja tam nie pójdę.

Ja nie pytam, czy pójdiesz, tylko jak sobie je wyobrażasz.

– Jak taki duży, słoneczny las, w którym każdy z każdym żyje w idealnej symbiozie. Nawet bimbrownicy z policją.

Bimbrownicy?! W niebie?! No co ty?!

– Pewnie! Co, Biblii nie czytałeś? Przecież chrześcijaństwo położyło podwaliny pod nielegalną destylację! Ba! Podniosło ją nawet do rangi cudu!

Chcesz powiedzieć, że wszyscy bimbrownicy idą do nieba?

– Nie wiem, ale nie ulega wątpliwości, że mają tam swojego wysoko postawionego przedstawiciela.

Nie bluźnij, bo jak cię szlag porządnie z miejsca trafi, to nie zostaną po tobie nawet resztki na dobry zacier.

– Spokojna twoja głowa! Ja jestem już tak zaprawiony, że wystarczy posypać zwłoki odrobiną cukru, a proces sam się aktywuje.

Metaliczny dźwięk zwalnianego rygla brutalnie przerwał nasze destylacyjno-eschatologiczne rozważania. Jeszcze nim Maciek zdążył się zorientować w sytuacji, dwóch roślących mężczyzn dopadło do niego, chwyciło za ręce, po czym wykręciło je z łatwością i gracją równą największym baletowym mistrzom. Detektyw nie stawiał oporu. Wiedział,

że wybiła jego godzina. Co więcej, zdawał sobie sprawę także z tego, iż nawet zmiana czasu nic by tu nie dała. W milczeniu oczekiwał kata.

Wtedy do pomieszczenia wszedł znajomy konik polny. Tym razem jednak jego dobrze skrojony garnitur skrywał się pod znacznie mniej dystygowanym, acz o wiele bardziej wymownym, fartuchem lekarskim. Mężczyzna spojrzał na Maćka, uśmiechnął się głupkowato, prezentując braki w uzębieniu oraz w intelekcie, a następnie wyjął z kieszeni niewielką strzykawkę zakończoną igłą. Delikatnie nacisnął tłok, aby odrobinka znajdującego się w pojemniku z podziałką płynu trysnęła niemrawo w powietrze. Kiedy tak się stało, bez ostrzeżenia wbił igłę w szyję Maćka i zaaplikował mu całą zawartość strzykawki.

Po kilku sekundach bohater poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg, a świat przed oczami wiruje niby obserwowany przez dziecięcy kalejdoskop. Może kogoś to dziwić, ale świadomość, że oto za chwilę zamknie oczy po raz ostatni, przyniosła niewypowiedzianą ulgę. Zegarmistrz Światła Purpurowy właśnie wyjął mu baterię...

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

ONI ONI ONI ONI

Obraz był rozmyty, zamglony, a do uszu Maćka docierało jakieś niezrozumiałe, nieregularne dudnienie o różnej tonacji. Dopiero po chwili wszystko zaczęło nabierać właściwej ostrości. Jasna plama stała się lampą wiszącą na suficie, zaś kakofonia dźwięków przeistoczyła w dialog dwojga osób.

- Obudził się?!

Rzucił dziwnie znajomy męski głos.

- Chyba tak.

Dodała jakaś kobieta.

- Idź sprawdź.

Odgłos kroków nasilał się z każdą sekundą, aż w końcu na tle jarzeniówki pojawiła się twarz konika polnego, który w tym wydaniu przypominał świętego z aureolą.

- Witamy z powrotem wśród żywych! Mam nadzieję, że już się pan wyspał. Pora wstawać. Czeka nas dużo roboty.

Maćka ogarnął szok.

- Gdzie ja jestem?! Co tu robię?! Żyję?!

Natychmiast dotknął kilka razy policzków, potem usta, oczy... Zupełnie jakby sprawdzał, czy wszystko jest na swoim miejscu. A gdy to zostało już ustalone, poderwał się z łóżka, co przyprawiło go o zawrót głowy.

- Aż tak spieszno panu do pracy? Powoli, spokojnie. Zaśmiał się konik.

- Chwila, moment....

Maciek zatrzymał wzrok na mężczyźnie.

- ... czy to nie pan zrobił mi ten śmiertelny zastrzyk?

- Tak, to ja, ale, jak widać, marny ze mnie egzekutor.

Detektyw skrył twarz w dłoniach.

- Niech mi ktoś raz a dobrze wyjaśni, co się tu, kurwa, dzieje, bo już nic nie rozumiem! NIC!

- Niech się pan napije. Zaraz wszystko wytłumaczymy.

Kobieta podała Maćkowi szklankę wypełnioną przezroczystym płynem, który za sprawą dużego haustu w mgnieniu oka wyłądował w gardle bohatera.

- Bleeeee...

Skrzywił się.

- To woda... Znów chcecie mnie otruć?! Dajcie coś mocniejszego!

- Niestety, jeszcze nie jest to wskazane. W pańskim organizmie wciąż krąży środek usypiający.

- Dobra, ale więcej nie róbcie mi takich numerów!

- Obiecujemy, że więcej pana nie usypimy.

- Ja nie o tym!

- A o czym?!

Zdziwiła się kobieta.

- O wodzie w szklance. Jak to mówią: woda nie wódka, dużo nie wypijesz. Czekaście... gdzie jest...?

Jestem, gamoni! Chyba nie myślałeś, że zostawię cię samego?!

- Kto?

Zapytała kobieta.

- Mój Anioł Stróż.

Zaśmiał się Maciek.

- Skoro pan nadal jest wśród nas, to chyba nie odstępuje pana na krok.

- Racja... Dobra, mówcie, o co tu chodzi? Kim jesteście itd.

- Ja nazywam się Katarzyna Gruszevska, a to mój brat, Marek. Ściągnęliśmy tu pana, ponieważ z tego, co mówił mi Marek, cierpi pan na to samo, co ja.

- To znaczy?

- Widzi pan świat tylko w czerni i bieli.

- Zgadza się, ale od niedawna. Ten... Radczak nazwał to „prawdą”.

- Tak, wiemy... Mnie przytrafiło się to samo, tyle, że już dawno. Wtedy jeszcze nie karano tego śmiercią. Wystarczyło tylko obiecać, że nikomu się nic na ten temat nie powie. Kiedy zostałam wypuszczona, zaczęliśmy z Markiem prowadzić na własną rękę coś na kształt śledztwa w tej sprawie. Chcieliśmy ustalić przyczynę mojego dziwnego widzenia świata.

- Udało się?

- Powiedzmy.... Dowiedzieliśmy się, że w jakiś dziwny sposób ma to związek z niejaką panią Apolonią. Zna ją pan, prawda?

Maciek zakłopotał się w widoczny sposób.

- Zna to za dużo powiedziane. Przyszła do mnie do biura. Spotkaliśmy się dotąd raptem raz.

Teraz wtrącił się Marek:

- To też wiemy. Jakiś czas temu, po długich poszukiwaniach, udało nam się ją odnaleźć. Od tamtej chwili śledzimy Apolonię bez przerwy. Widzieliśmy, jak zatrzymała się na moment przy panu, gdy leżał pan nieprzytomny pod sklepem, a potem ruszyła do pańskiego biura. Zrozumieliśmy, że musi być pan więc ważnym

elementem w jej planie i dlatego też postanowiliśmy pana ocalić.

Detektyw aż poprosił o dolewkę wody.

- Istotnie... zacząłem wszystko widzieć na czarno-biało tuż po tym, gdy ocknąłem się pod marketem. Cholera... Ma to sens! A wiecie może, jaki jest ten jej plan lub kim ona jest?

Pałeczkę w rozmowie znów przejęła kobieta.

- Dowiedzieliśmy się, że nazywa się Apolonia Kowalska-Nowak oraz że lubi czytać. W szczególności książki historyczne.

- I tyle?!

- To aż tyle!

Wzburzył się konik polny.

- Pan nawet nie potrafił jej znaleźć.

- Racja. Przepraszam... Mówcie dalej...

- Nie wiemy nic więcej. Zawsze gdy ją obserwujemy, w pewnym momencie znika, jakby rozplywała się w powietrzu, po czym następnego dnia znów gdzieś ją dostrzegamy. I tak w kółko. Ale chcemy zastawić na nią pułapkę. I tu do gry wchodzi pan, detektywie.

- Zamieniam się w słuch.

Maciek usiadł z powrotem na łóżku, skrzyżował ręce na klatce piersiowej i skinął, dając znak, że jest gotów.

- Jak już zostało powiedziane...

Zaczęła Kasia.

- ...naszym zdaniem z jakiegoś powodu jest pan dla Apolonii ważny. Otóż za trzy dni odbędzie się pański pogrzeb...

- Jak mój pogrzeb?!

Maciek wykrzyknął z niedowierzaniem.

- Normalnie. Radczak musi mieć pewność, że pan nie żyje, my zaś jesteśmy pewni, że na uroczystości pojawi się Apolonia. Wówczas dyskretnie ją przejmujemy, aby wreszcie poznać całą prawdę. Nie tę od Radczaka i jego pacholków.

- Mój pogrzeb...

Bohater wciąż był w szoku.

- Na razie proszę się tym nie przejmować. Pomożemy panu zorganizować nowe życie. Teraz najważniejsze jest to, że mamy trzy dni, żeby dowiedzieć się jak najwięcej o Apolonii. Nie powiem, liczymy również na pańskie detektywistyczne zdolności.

- Dobra... musimy na spokojnie przeanalizować to, co już wiemy. Może wyłoni się z tego jakiś trop.

Katarzyna i Marek przytaknęli bez słowa, a detektyw ciągnął dalej.

- Potraktujmy tę Apolonię jak przestępcę, a nawet mordercę. I to seryjnego. Wśród policyjnych profilerów krąży przeświadczenie, że najwięcej o sprawcy mówi jego pierwsza ofiara. Z rozmowy wynioskowałem, że ja jestem najświeższym przypadkiem, a skoro nie znamy innych, zacznijmy od pani, Kasiu, bowiem pani przytrafiło się to znacznie wcześniej. Proszę opowiedzieć ze szczegółami; kiedy to było i w jakich okolicznościach.

Kobieta posmutniała. Prawie natychmiast stała się jakby nieobecna. Wzrok utkwiała w krajobrazie rozciągającym się za oknem i nerwowym, drżącym głosem zaczęła snuć swą historię spotkania z Apolonią.

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

ASIA ASIA ASIA AS

To było parę lat temu, ale żeby mógł pan lepiej wszystko zrozumieć, muszę cofnąć się do swojej nastoletniości, a mówiąc dokładniej - do czasów liceum.

Nigdy nie czułam się inna sama z siebie. Bo niby dlaczego? Przecież kochałam tak, jak cała reszta moich kolegów i koleżanek. Te same uczucia, te same motyle w brzuchu, te same płomienne rumieńce na twarzy, ta sama tęsknota, ta sama chęć bycia razem. Na wieki. Nie różniło się nic prócz tego, że obiektem moich westchnień nie był Konrad, powszechnie uznawany za najprzystojniejszego w klasie, lecz Asia - według tych samych będąca synonimem społecznego odklejenia oraz chodzącą definicją introwertyka. Zawsze cicha, sama, bez makijażu czy markowych ciuchów. Nieraz, gdy była nieobecna w szkole, nikt z klasy nawet tego nie zauważał. Ja nie byłam wyjątkiem. Kiedy jeszcze nie znałam Aśki dobrze, bez skrupułów i z łatwością oceniałam ją wraz z całym chórem „tych lepszych”. Dla nas była dziwadłem, które wiecznie bazgrze coś w swoim zeszytcie, zarówno na lekcjach, jak i na przerwach. Śmiałyśmy się, że to pewnie kolejne wersje listu pożegnalnego do rodziny albo zapis jakichś satanistycznych rytuałów. Lecz wszystko zmieniło się tamtego dnia. To był język polski z panią Słodkowską, nauczycielką bardzo wymagającą, ale przy tym całym sercem oddaną młodzieży oraz przedmiotowi, którego uczyła. Pamiętam, że robiła co w jej mocy, żeby zachęcić nas do czytania, pisania, dyskusji. Lekcje z nią lubili nawet tak zwani „ścisłowcy”, bo podchodziła do nich ze szczególną wyrozumiałością.

Doceniała po prostu, jeśli ktoś się starał, i takim osobom podciągała oceny z uśmiechem na twarzy.

Z drugiej strony, gdy uczeń lub uczennica najzwyczajniej w świecie olewali jej przedmiot, pani profesor nie kryła swojej antypatii do takich jednostek.

Jedną z nich był właśnie wspomniany wcześniej Konrad. Wiecznie na polskim nieobecny; nie odrabiał prac domowych, a pisanie sprawdzianów za każdym razem przeciągał do ostatniego terminu.

Wtedy też go nie było. Pani sprawdzała listę obecności, zaś gdy doszła do jego nazwiska, bez rozczarowania w głosie powiedziała:

- No tak, szanownego pana Konrada znów nie ma.

- „Chloroforma” przeważnie nie ma na polskim... - niby mruknęła Asia, lecz uczyniła to tak, że każdy jej słowa usłyszał.

- Kogo? - zdziwiła się Słodkowska, która Aśkę akurat bardzo lubiła.

- „Chloroforma” - powtórzyła nastolatka.

- A dlaczego nazywasz tak kolegę?

- Bo tak działa na dziewczyny. Wystarczy, że tylko na nie spojrzysz, a te od razu mdleją.

Belferka parsknęła śmiechem.

- Zazdrościsz, że na ciebie nie patrzy! - wtrąciła Natalia, jedna z wielbicielek Konrada.

- Chyba żartujesz! - odparła Asia - jakbym chciała, żeby patrzył na mnie pustak, poszłabym do „Mrówki”.

W tamtej chwili spojrzałam na nią inaczej niż dotychczas. Spodobało mi się to poczucie humoru, wymagało bowiem niezwyklej bystrości. Do tego dopiekleń Natalii, a co

najważniejsze – powiedziała prawdę o Konradzie. Coś, co sądzili o nim wszyscy, ale nikt dotąd nie zdobył się na odwagę, by wyrazić to wszem wobec. Postanowiłam, że zagadam do niej na przerwie.

Taki oto był początek naszej wielkiej przyjaźni. Okazało się, że w tajemniczym zeszycie Joasia ma swoje rysunki. Wszystkie piękne, staranne, pełne detali i zawsze wykonane czarnym długopisem, gdyż – jak wytłumaczyła mi Aśka – ma go pod ręką w każdej chwili, a przecież nigdy nie wiadomo, kiedy wena zapuka do drzwi jej duszy.

Spotykałyśmy się często. Bardzo. Z czasem klasa zaczęła krzywo patrzeć także na mnie. Ja jednak miałam to gdzieś. Po raz pierwszy od dawna czułam, że mam prawdziwą przyjaciółkę!

Poznałam także rodziców Joaśki. Ojciec, emerytowany mundurowy był bardzo chłodny, zasadniczy i konserwatywny. Mama zaś, jakby dla zachowania równowagi, wciąż się uśmiechała. Słowem: kobieta do rany przyłóż. Ilekroć gościłam u nich w domu, pytała, czy jadłam już obiad, bo ona ma dla mnie porcję, jak coś.

Kolejne kartki spadały z kalendarza, a ja zbliżałam się z moją przyjaciółką coraz bardziej, aż w końcu, któregoś wieczora, niby w żartach, skradłam jej buziaka.

Nie planowałam tego. Samo wyszło. Aśka najpierw zamarła... Chwilę później na jej twarzy zajaśniał uśmiech. Odwzajemniła pocałunek. I choć obie wiedziałyśmy podskórnie, że to coś złego, że rodzice zabiliby nas za to, nie chciałyśmy przerywać. Nawet nie tyle samego pocałunku, co uczucia pełnej bliskości, bezpieczeństwa oraz wzajemnego zrozumienia.

*

Nasze uczucie kwitło. Podobnie zresztą jak gęsty winobluszcz kłamstw, którym je oplotłyśmy. Trochę ze wstydu, że będą wytykali nas palcami, ale bardziej ze strachu przed reakcją najbliższych: mamy, taty, babć, ciotek, pociotek, znajomych ze szkoły, nauczycieli... Jediną osobą, która o wszystkim wiedziała, był Marek...

Od rana do popołudnia udawałyśmy więc, że jesteśmy po prostu zwykłymi najlepszymi przyjaciółkami, ale zaraz po szkole szłyśmy w pewne, sekretne miejsce, z dala od świata i tam spędzałyśmy razem czas. Bez lęku, że dosięgnie nas czyjś wzrok. To właśnie podczas jednego z takim spotkań odbyłyśmy rozmowę, którą pamiętam do dziś.

Słońce delikatnymi promieniami głąskało piegowatą twarz Asi, sprawiając, że wyglądała niczym obsypana złotym brokatem. W takich momentach szczególnie lubiałam na nią patrzeć. Była wtedy taka radosna, spokojna, niewinna, kochana, lekka i... moja. Chciałam, by takie chwile trwały wiecznie, żebyśmy nie musiały się już ukrywać. Dlatego też zagadnęłam o to Aśkę. Najpierw długo milczała, a potem spostrzegłam jak jasny promyk skupia swój blask na spływającej po jej policzku łzie.

- Też bym tego chciała... - zaczęła, uciekając wzrokiem w bezkresny błękit nieba. - Ale sama wiesz, jaki jest mój ojciec. Kilka razy zastanawiałam się, czy nie powiedzieć rodzicom prawdy...

- I? - zapytałam, ściskając jej dłoń z całych sił.

- I jakiś czas temu, gdy przechodziłam przez duży pokój, zobaczyłam, jak tata ogląda transmisję z parady równości. Przystanęłam. Ekran podzielony był na dwie części; na

jednej wyświetlano obrazki na żywo, a na drugiej „mądre głowy” gadały w studio o prawach i sytuacji osób homoseksualnych w Polsce. Gdy ojciec dostrzegł, że stoję zapatrzona w telewizor, zdecydował się objaśnić mi świat z jego perspektywy: *Patrz, Aśka! - wskazał na odbiornik - Swółocz! Zboczeńcy! O jakich prawach oni chcą rozmawiać?! Przecież nawet zwierzęta nie robią takich rzeczy. Jedyne prawo, jakie powinni mieć, to prawo do opuszczenia kraju tuż przed rozstrzelaniem! Tfu! - symbolicznie splunął - Aż rzygać się chce!* Przytaknęłam, okraszając to grzecznym uśmiechem, ale uwierz, serce rozpadło mi się na miliardy kawałków. Wiedziałam już, że nigdy nie złamię serca mego taty prawdą. Wystarczy jedno takie w rodzinie.

Nie zgadzałam się z nią, choć szanowałam decyzję. Odtąd nasza relacja, przynajmniej ze strony Asi, stopniowo słabła. Ona po prostu mnie unikała; odwoływała bądź przekładała spotkania, a i w szkole zachowywała dziwny, coraz większy dystans.

Wiele lat później, gdy poszłam na Marsz Równości, w swoim sercu miałam silne przekonanie, że robię to także dla niej.

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

KASIA KASIA KAS

Szłam w tłumie kolorowych, wesołych, normalnych ludzi. Aż trudno było uwierzyć, że wszyscy o coś walczymy. W dodatku chyba wszyscy o to samo – o wolność. Nie o prawa, nie o jakieś możliwości czy spokój. Nie. Moim zdaniem naprawdę chodziło o tę najbardziej elementarną, wrodzoną każdemu człowiekowi wartość. Przecież jeśli dano by nam wolność, cała reszta musiałaby się w końcu wydarzyć, jako jej konsekwencja.

Tak więc morze radosnych ludzi przelewało się ulicami stolicy. Fakt, było kilku „oderwańców” czy „odklejeńców”. Przyznam, że ich nacechowany seksualnością, wręcz ekshibicjonistyczny performans nawet mnie wydawał się gorszący i niesmaczny. Kilkoro maszerujących razem ze mną próbowało zwrócić im uwagę, lecz napotkaliśmy na mur zbudowany z emocjonalnego prostactwa oraz (niepotrzebnej nikomu) chęci szokowania. Wiedziałam już, że w wieczornych wiadomościach stacje telewizyjne pokażą przede wszystkim tych prowokatorów. Mimo tego wciąż szłam w tłumie. Dumna, bo przecież żadna banda idiotów nie odbierze mi godności.

Dziesięć minut później do moich uszu dotarły pierwsze odgłosy zamieszek na froncie marszu: krzyki, wyzwiska płynące z megafonów. W tłum weszła nerwowość. Okazało się, że naprzeciw nas stanęli narodowcy z sumieniami tak czystymi, że kazały im zasłonić twarze maskami lub szalikami. Czułam, że nie wyjdzie z tego nic dobrego. Wtedy niebo w moich oczach po raz pierwszy przybrało kolor szarości. To bym dym z odpalonych rac. Nagle straszliwy gorąc oblał całe moje ciało. Upadłam, a ostatnim, co

zobaczyłam, była właśnie Apolonia. Stała na przystanku niedaleko trasy przemarszu. Jakimś cudem nasze oczy spotkały się na ułamek sekundy. Była smutna. Patrzyła na mnie, zupełnie jakby chciała mnie objąć i przeprosić. Od tamtej chwili, widzę świat tak, jak pan teraz, panie Maćku.

Detektyw podszedł do kobiety, przytulił ją i powiedział:

- Jesteś niesamowita i bardzo dzielna! Gdyby nie ta historia, pewnie nasze zagadka nigdy nie zostałyby rozwiązane, a tak wydaje mi się, że wiem, o co chodzi.

Marek i Kasia spojrzeli na niego ze zdziwieniem.

- Pozwólcie, że jeszcze nic nie zdradzę. Wciąż muszę potwierdzić jedną rzecz, a żeby to zrobić, musimy wybrać się do kościoła. Ale to jutro. Dziś nam wszystkim przyda się odpoczynek.

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

OWNY DUCHOWN

Następnego dnia, tuż po godzinie dziewiątej, Maciek, Kasia oraz Marek stali przed największym kościołem w mieście. Detektyw, jako że w masowej świadomości był już trupem, postanowił jeszcze przed wyjściem skrzętnie ukryć swoje oblicze. Posłużyły mu do tego okulary zwane potocznie „zerówkami” oraz sztuczna broda w stylu Abrahama Lincolna wypożyczona ze sklepu z kostiumami. W wyniku tego jakże karkołomnego kamuflażu bohater wyglądał jak - nie przymierzając - Pan Kleks, gdy po raz pierwszy w życiu usłyszał definicję słowa „pedofilia”.

Świątynia robiła wrażenie. Ceglana konstrukcja bez wątpienia przeżyła nie jednego grzesznika, zaś zwieńczająca ją strzelista, wysoka na prawie dziewięćdziesiąt metrów wieża przestrzegała widokiem krzyża wszystkich tych, którzy jeszcze żyli.

Nasza nie-święta trójca czekała, aż zgromadzeni w kościele opuszczą Boży przybytek, umożliwiając spokojną rozmowę z arcybiskupem. Gdy tak się stało, Maciek, Marek oraz Kasia weszli do środka.

Wnętrze przytłaczało - nie tylko wielkością, ale przede wszystkim wystrojem. Zwisające w kilku miejscach potężne, wytworne żyrandole dawały nastrojowe światło, w sposób nienachalny, acz znaczący podkreślające nie tylko finezję architektoniczną całości, lecz także bogactwo zdobień oraz ornamentów zaklęte w rzeźbach, przedstawieniach świętych czy w precudnej urody witrażach. Te ostatnie nawet przy takiej pogodzie, nawet widziane w czerni i bieli zachęcały, by przystanąć na chwilę i w milczeniu podziwiać kunszt ich

twórcy. Centralnym jednak punktem był ołtarz, za którym stało skrzące się złotem tabernakulum. Nad nim zaś górował ogromny krzyż z wiszącym nań Zbawicielem; bezbronnym, cierpiącym, odartym z szat, godności, a mimo to w przedziwny sposób zwycięskim. Jego oblicze, choć zmęczone, miało w sobie spokój niemowlęcia śpiącego bezpiecznie w ramionach Ojca. Niestety, całe to misterium wręcz koncertowo popsuł arcybiskup, kroczący tuż za swoim brzuchem w stronę naszych bohaterów.

- Szczęść Boże. W czym mogę pomóc?

Przemówił z taką wyższością, jakby znajdował się na mobilnej ambonie.

- Szczęść...

Odparł Maciek.

- My do księdza...

- Jego ekscelencji.

Poprawił duchowny.

- I jego ekscelencji, choć nie wiem, czy potrzeba was aż dwóch.

Zażartował Maciek, co nie spotkało się z aprobatą arcybiskupa.

- Zaraz państwa wyproszę!

- Wyprosić to se pan będziesz musiał łaskę u Najwyższego po naszej rozmowie.

Wtrąciła bezceremonialnie Kaśka, a mężczyzna aż poczerwieniał.

- Spokojnie, ksiądz jeszcze nie kardynał, żeby oblekać się purpurą.

Dodał Marek.

- Dość tego! Proszę wyjść! To dom Boży, a nie kabaret!

Powiedział jego ekscelencja, wymachując rękami.

- Dobra, wyjdziemy, ale ja tylko nadmienię, że chcieliśmy porozmawiać o niejkiej Apolonii.

Rzucił niby na odchodne detektyw, wiedząc, że po tych słowach hierarsze z pewnością zmięknie pastorał. Tak też się stało. Brzuchacz zamilkł, uśmiechnął się głupkowato i nie kryjąc nawet, że próbuje kłamać, rzekł:

- Apolonia... Apolonia... Nie znam takiej. Państwo się chyba mylą.

- A ksiądz chyba na pewno kłamie, jak to mówi młodzież.

Znów odezwała się Kaśka.

- Słuchaj, jeśli nie będziesz z nami współpracował, to pójdziemy do twojego przełożonego i zostanie ci tylko kręcenie budyniu do kremówek w Wadowicach.

Marek przedstawił duchownemu możliwości.

Arcybiskup zaprosił całą trójkę do ławki, a gdy się upewnił, że w kościele nie ma nikogo więcej, usiadł obok nich i zaczął głosem o wiele niższym, aniżeli jego kościelna godność:

- Sam nie wiem, co powiedzieć... Tak, znam tę panią. Wszyscy ją znamy... To bardzo dobra, wrażliwa i krucha osóbką. Będę z wami szczerzy. Wykorzystywaliśmy ją wielokrotnie...

- Ty...

Uniosła się Kaśka.

- Nie, nie, nie! Nie w ten sposób.

- A w jaki?!

- Już mówię. Pani Apolonia często odwiedza różne kościoły. W każdym z nich pokornie prosi o modlitwę oraz zawiera się Opatrzności Bożej. Kiedyś jeden z księży,

widząc w jej wierze prawdziwą żarliwość, wykombinował, że trzeba to jakoś wykorzystać. Poświęcił więc, nomen omen, trochę czasu, by lepiej poznać wierną, a gdy zdobył już jej zaufanie, zasugerował, aby ta za bezcen oddała kościołowi ziemię, która podobno swego czasu należała do jej dzieci. Ku zdziwieniu mego kolegi po fachu kobieta z radością przystała na tę niecodzienną propozycję. Więcej: ona była wręcz mu wdzięczna za taką możliwość! Sami rozumiecie... Grzechem byłoby nie skorzystać.

- Grzechem to wyście wszyscy tu, kurwa, obrośli!

Wykrzyknął Marek, wskazując na brzuch ekscelencji.

- Marek, wyluzuj. Wszystko już wiem. Możemy iść.

Maciek skinął głową na pożegnanie hierarchy i z radością ruszył w stronę wyjścia. Brat z siostrą jeszcze przez dłuższą chwilę stali w osłupieniu, zupełnie nie rozumiejąc, co właśnie zaszło.

- Jak to „wszystko wiesz”? Mów!

Domagała się Kasia, gdy wyszli ze świątyni.

- W swoim czasie, szanowni. W swoim czasie. Zrozumiecie każdą nić tej pajęczyny zagadek tuż po moim inscenizowanym pogrzebie. Zaręczam! Tymczasem pozwólcie, że przemówię klasykiem: O jakże ja byłem ślepy!

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

APOLONIA APOL

Tego dnia wiatr, deszcz oraz śnieg zaatakowały z niespotykaną dotąd siłą. Owo specyficzne trio nie oszczędzało nikogo i niczego na swej drodze. W rezultacie ich bezdusznych harców największe drzewa pokornie spuszczały bezlistne korony ku ziemi, oddając poddańczy pokłon wichrom. Ulice chlubiące się imiennymi tabliczkami raptem stawały się częścią anonimowych bezdroży wymalowanych za sprawą białej, śniegowej farby, a okna nieprzerwanie płakały deszczowymi łzami, które spływały po szklanej tafli ciszą przemijania.

Nie dziwił zatem fakt, że przy takiej aurze sfingowany pogrzeb naszego bohatera stał się smutną uroczystością dla bardzo wąskiego, by nie rzec, elitarnego grona osób. Prócz księdza w żałobie nad trumną pochylali się: właściciel baru – Marcel, zdradziecki grubas – Alfred Krocki oraz grupka wiernych kolegów od kielicha, rozgrzanych procentami tak, iż z powodzeniem mogli robić za samobieżne koksowniki.

Maciek, Kasia oraz Marek przyglądali się wszystkiemu z oddali. Nie interesowało ich jednak to osobliwe teatrum, bowiem wypatrywali Apolonii.

– Cholera, niech ona już przyjdzie, bo zaraz zamarznę tu na śmierć i wtedy dopiero będą jaja.

Niecierpliwiał się bohater, przeskakując z nogi na nogę.

– Czemu? Przynajmniej byłbyś sławny po śmierci. Tej prawdziwej oczywiście.

Rzuciła z uśmiechem Kasia.

– Bo?

– Bo musieliby postawić twoje zwłoki w Sevres jako wzorzec ironii losu. Wyobraź sobie te nagłówki w internecie:

*Zszedł na własnym pogrzebie, a teraz mają go za wzór.
Znajomi: Starał się o to do grobowej deski.*

- Wy jej lepiej wypatrujcie, a nie sobie tu żartujecie, bo znowu pojawi się i nagle zniknie, jak korzyści z ostatnich reform gospodarczych rządu.

Marek wywołał wilka z lasu. Tuż po jego słowach w oddali dostrzegli stojącą samotnie Apolonię.

- Jest!

Maciek wskazał ją palcem.

- Ja idę po auto, a wy lećcie po nią!

Rodzeństwo natychmiast wykonało polecenie.

Szli w stronę kobiety powoli, nie chcąc tej kruchej istoty spłoszyć nerwowym biegiem. Kiedy byli w odległości jakichś ośmiu metrów od niej, Apolonia ich zauważyła. Ruszyła szybkim tempem w przeciwną stronę; krok miała pewny, choć dało się wyczuć w nim także lęk. Widząc to, Marek z Kasią woleli nie ryzykować – od razu doskoczyli do kobiety, dyskretnie, acz stanowczo łapiąc ją z dwóch stron pod ręce.

- Pani pozwoli z nami.

Oznajmiła chłodno Kaśka.

- Ale co? Dlaczego? Proszę mnie puścić!

Apolonia próbowała się szarpać, jednak Marek wzmocnił chwyt, dając jej odczuć, że nie wybrała najlepszego rozwiązania. Wyszeptał:

- Pola, w interesie nas wszystkich jest, abyś nie robiła scen. Zależy nam na dyskrecji, podobnie jak tobie. Chcemy tylko pogadać. Potem cię wypuścimy.

- Ale ja was nie znam.

Kobieta stawiała opór już tylko werbalnie.

- Ale my chcemy bliżej poznać ciebie...

Uśmiechnęła się Kaśka.

Kilkanaście sekund później po całą trójkę podjechał samochód. Marek otworzył tylne drzwi, poczekał, aż obie panie wejdą do środka, i zamknął. Rozejrzał się dookoła, upewniając się, iż sytuacja nie zwróciła niczyjej uwagi. Zajął miejsce z przodu, obok kierowcy. Auto ruszyło.

- Czego ode mnie chcecie?

Pytała wyraźnie oburzona Apolonia.

Marek obrócił się do tyłu.

- Już mówiliśmy, chcemy pogadać.

- Ale o czym?! Ja nic nie wiem...

- Powiedzmy, że o patriotyzmie.

Wtrącił się Maciek, spoglądając z uśmiechem w lusterko.

- To PAN!

- Zgadza się.

- Sądziłam, że mogę panu ufać?!

- Może pani. Cierpliwości, za chwilę wszystko stanie się jasne.

Dalsza droga minęła w milczeniu. Detektyw, ku zaskoczeniu wszystkich, zaparkował nie pod swoim biurem, a pod budynkiem biblioteki miejskiej. Jeszcze nim padło jakiegokolwiek pytanie, mężczyzna wyjaśnił: Tu nie będą nas szukać. Teraz mało kto czyta.

Biblioteka przywitała naszych bohaterów przyjemnym zapachem książkowego kurzu pomieszanym z silnym, szampańskim aromatem perfum, który zapewne pochodził od siedzącej za biurkiem tuż naprzeciw wejścia starszej pani. Sączyła kawę, rozwiązywała krzyżówki i od czasu do czasu zerkała spod ogromnych, czarnych oprawek okularów na każdego, kto przestępował próg jej królestwa.

Dostrzegłszy Maćka, Marka, Kasię oraz Apolonię, od razu przewencyjnie pogroziła im palcem.

- Dzień dobry... My się na razie tylko rozejrzymy.

Półgłosem przywitał się Marek.

- To nie supermarket! Nie trzeba tak mówić! Chcą, niech chodzą, byleby książek mi nie pokradli.

Skarciła mężczyznę bibliotekarka, wskazując jednocześnie stolik z czterema krzesłami stojący w rogu czytelnicy.

- Tam idą! I niech się zachowują!

Cała czwórka skinęła pokornie. Ewidentnie żadne nie chciało rozdrażnić lwa ukrytego w postaci niepozornej staruszki. Wszak nie wiedzieli, czy przyszli tu w porze karmienia. Grzecznie więc udali się na wspomniane miejsce, mając nadzieję, że nie usłyszą za chwilę głosu Krystyny Czubówny mówiącej: lwica bacznie obserwuje cztery małe, bezbronne łanie...

Gdy usiedli do stołu, Maciek wyprostował się na krześle z dumą, jakby już szykował wątlą pierś pod przyszłe ordery. Omiótł pozostałą trójkę wzrokiem, niejako sprawdzając jej gotowość na przyjęcie prawdy, którą za chwilę miał wyjawić.

- Nie skłamię, jeśli powiem, że była to najtrudniejsza sprawa w mojej karierze. Nie tylko dlatego, że miałem odnaleźć czyjeś poczucie humoru, ale raczej ze względu na to, CZYJE owo poczucie jest!

- No jej.

Kaśka wskazała na Apolonię.

- Owszem. A ona to?

- Apolonia Kowalska-Nowak.

Dodał Marek, wywołując gwałtowny śmiech Maćka.

- Widzę, że wciąż nie rozumiecie. Spokojnie, ja też długo byłem jak dziecko we mgle. Na szczęście wszystko wyjaśniło się w porę.

- Ale co?!

W tym samym momencie zapytało rodzeństwo, czym naraziło się lwicy.

- Dobra, od początku...

Westchnął Maciek.

- Kiedy pani Apolonia przysłała do mnie po raz pierwszy, coś nie pasowało mi w jej wyglądzie. Przypominam, że już wówczas widziałem świat na czarno-biało, a mimo to jej usta były czerwone.

- Też to widzę.

Kaśka osłupiała z wrażenia.

- Dopiero teraz to skojarzyłam... Mów dalej.

- To był pierwszy dzwonek alarmowy. Kolejne wynikły podczas naszej rozmowy. Poprosiła pani o wódkę, a to rzadkie wśród kobiet. Dodała też, że lubi wszystko, co swojskie, zaś gdy zobaczyła pani w moim biurze prenumeratę „Wieka”, stwierdziła, że jej również wielokrotnie wieszczono koniec. No i jeszcze potem ta historia o nieżyjących rodzicach i dzieciach, z którymi kontakt się urwał. Miałem wszystkie potrzebne informacje, by już w biurze rozwiązać tę zagadkę, a mimo to wciąż byłem ślepy! Nie przejrzałem na oczy nawet, gdy opowiadał mi o pani „Wąs”. Mówił, że romansowała pani wielokrotnie z nim, a nawet z hierarchami kościelnymi. Jednak dopiero historia tu obecnej Kasi rozjaśniła mrok w moim umyśle.

- Możesz jaśniej?

Denerwowała się Kaśka.

- Tak. Podsumujmy więc: mlecznobiała cera i czerwona szminka. Lubi wyroby swojskie, wódkę oraz wielokrotnie już ją pogrzebano. Niechętnie, ale romansuje z nazistami, a z drugiej strony smuci się, gdy dyskryminowane są mniejszości. I byłbym zapomniał: oddaje ziemie kościołowi. Już rozumiecie?

- Ni cholery.

- A może tak: Apolonia Kowalska-Nowak, nie uderza was w tym nic?

- Imię jak imię.

- Nieee, przyjaciele... nieee. Kowalska-Nowak to dziwnym trafem zestawienie najbardziej popularnych nazwisk w tym kraju. Dodajmy teraz do tego imię: Apolonia... Słyszycie? A...polonia.

- Kurwa, on mówi o...

Kaśka poderwała się z krzesła, a Maciek tylko się uśmiechnął.

- Tak! Oto macie przed sobą... Najjaśniejszą Rzeczpospolitą we własnej osobie.

Na te słowa Pola wyraźnie się zawstydziła, Marek zaś nie mógł wyjść z osłupienia.

- Że...że to... O...Oj.. Ojczyzna?!

- W rzeczy samej!

- Czekaj, jeszcze raz: jak na to wpadłeś?

Marek wciąż nie mógł wyjść z szoku.

- Skoro wszystko widziałem w czerni i bieli, to dlaczego jej usta były czerwone? To było pierwsze pytanie, które sobie postawiłem. Szybko skojarzyłem to z flagą. Potem obraz stawał się coraz pełniejszy. Zawsze w historii nasz kraj lubił przelotne romanse z ekstremistami, gdy ci co jakiś

czas wchodzili do sejmu. Stąd znajomość z Wąsem. Niestety wszystko zaburzył mi Radczak... Bo skoro pani jest Ojczyzną, to dlaczego Radczak i jego ludzie interesowali się mną czy Kasią, a nie panią?

- Właśnie!

Przytaknął brat Kaśki, lecz za detektywa odpowiedziała mu siostra.

- To akurat proste. Żadna władza nie interesuje się państwem. Byleby mieli kieszenie pełne kasy i ludzi pod butem.

- Dokładnie, Kasiu. W słuszności utwierdziła mnie twoja opowieść. Byliśmy przecież kiedyś państwem bez stosów. Wiem, dotyczyło to tolerancji religijnej, ale jednak. Polska zawsze była pomocna i tolerancyjna, dlatego też zasmuciły ją prześladowania osób homoseksualnych. No i wreszcie, po spotkaniu z nią, każde z nas zobaczyło świat jej oczami.

Zapanowała cisza, pośród której dało się jedynie słyszeć siorbanie pani bibliotekarki. Kasia z Markiem kręcili głowami, wciąż nie wierząc w to, co usłyszeli, Maciek snuł w myślach wizję o nowym początku swej kariery, a Apolonia... zniknęła!

- Co ty mówisz, narrator?! Kurwa! Faktycznie! Gdzie ona?!

Maciek zerwał się z krzesła, lecz dostrzegł wyłącznie karcący wzrok starszej pani.

- Cholera! Zniknęła!

- Nie przejmuj się.

Uspokajała go Kaśka z uśmiechem. Jak będzie chciała - na pewno nas znajdzie. A tymczasem zadbajmy, żeby więcej nie była smutna, co?

- Ale niby jak?

Gorączkował się brat.

- Przede wszystkim zawsze stawaj po stronie prześladowanych. Nie pozwól, żeby twój umysł opętało prostactwo jakiegokolwiek ekstremizmu. Bądź dobry dla innych i najważniejsze: o cokolwiek byś nie walczył, nigdy nie mów, że nie warto, bo jesteś sam... Uwierz, że jest wielu, ale problem w tym, że każdy myśli, że jest sam.

Te słowa wypowiedziane głosem Apolonii podobno Marek usłyszał w duchu.

Teraz zostało już tylko działać. Prawda?

Projekt okładki: Łukasz Różyński
Skład: Izabella Różyńska
Redakcja i korekta: Słowność Julia Diduch-
Stachura
Konwersja do EPUB/MOBI: InkPad.pl

Copyright © Maciej Lasota
Copyright © Wydawnictwo Papierowy Motyl

Wydanie pierwsze • Warszawa 2022

www.papierowymotyl.pl
wydawnictwo@papierowymotyl.pl

ISBN 978-83-67533-01-0